TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „T R Z E Ź W O Ś Ć“ I KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW

pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO

Nr. 4 — 6

1934 R.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalnie 1.50.
Ogłoszenia 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 35 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/10 str. 12 zł.
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270
REDAKCJA Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 843-04, godz. 18—19.
ADMINISTRACJA Warszawa, Rynek Starego miasta 38, I p. tel. 511-07.

TREŚĆ:

Cena 1 zł. 50 gr.

T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ", ORAZ KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW

Pod Redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 4 — 6 KWIECIEŃ — CZERWIEC ROK IX

JAK ZWALCZAĆ ALKOHOLIZM

Referat, wygłoszony na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość" w Warszawie dnia 3.VI.1934 r.

Sz. Sz. Panie i Panowie, proszę mi wybaczyć, że poruszam to pytanie. Ruch antyalkoholowy w Polsce istnieje już od wielu lat. Odbyto niezliczoną ilość konferencyj i zebrań, urządzono wiele zjazdów i raptem *ja*, niezawodowy działacz na polu zwalczania alkoholizmu, pozwalam sobie zadać podobne pytanie. Proszę nie brać mi za złe, że dążę do pewnej rewizji dotychczasowego postępowania, rewizji techniki i taktyki na tym odcinku walki społecznej.

Komunikacja istnieje od chwili narodzenia się człowieka na kuli ziemskiej. A jednak widzimy stały w niej postęp. Marsz pieszy, jazda wozami, coraz to bardziej doskonalonymi, jazda konno, innemi zwierzętami, jazda łodzią, saniami, wreszcie wozem parowym, samochodem, samolotem i t. d. Ileż to zmian technicznych, ile nowych, coraz to doskonalszych podejść do zagadnienia komunikacji?

Tyleż samo, jeżeli nie więcej, zagadnień taktycznych wysuwa sprawa walki z alkoholizmem. By rozwiązać te zagadnienia taktyczne musimy uczynić to, czego wymaga zwykła taktyka wojenna. Określić typ przeciwnika, określić fazy walki. W zależności bowiem od typu i od fazy powinno kształtować się nasze postępowanie.

Przeciwnik może być zbiorowy i indywidualny. Faza może być: pierwsza — towarzyskiego lekkiego przedalkoholizmu, druga — towarzyskiego wybitnego alkoholizmu, wreszcie alkoholizmu chorobliwego, indywidualnego.

Alkoholizmem zbiorowym nazywam alkoholizm, rozwijający się wśród zdrowych jednostek na tle pewnych sprzyjających społecznych okoliczności, n.p. nierozwiniętego życia umysłowego, braku atrakcyj kulturalnych, oraz istnienia w danem środowisku hjen ludzkich, żerujących na alkoholizmie.

Alkoholizmem indywidualnym nazywam alkoholizm, rozwijający się u jednostki, nawet stojącej na wysokim poziomie intelektualnym i kulturalnym, ale znajdującej się w pewnym okresie depresji.

W życiu codziennem oba te typy mogą występować jednocześnie u jednej i tej samej jednostki.

Jakże różne są metody walki? Walka z szynkami, praca nad dostarczaniem ludziom możliwości kulturalnego spędzania czasu w pierwszym wypadku; podtrzymanie na siłach — w przypadku drugim.

Fazy alkoholizmu, bądź społecznego, bądź indywidualnego wymagają też stosownego podejścia do nich. Tak n.p. marnowaniem czasu i sił będzie przekonywanie degenerata - alkoholika w ostatniem stadjum tego nałogu o szkodliwości alkoholu. Tu może złagodzić nałóg tylko lecznica specjalna.

Nie mając możności ani zamiaru wyczerpywać kwestji typów i faz, poruszonej przezemnie tylko przykładowo, przechodzę do strony konkretnej, omawianej walki.

Sądzę, że należy podzielić Polskę na dowództwa anty-alkoholowe. Dowództwa powinny mieć swoje sztaby. Sztab, jak każdy sztab, powinien mieć mapy, charakteryzujące teren z punktu widzenia alkoholizmu. Na mapach i dołączonych do nich schematach rejestracyjnych powinny być zarejestrowane ogniska zbiorowe i pojedyncze fakty alkoholizmu. Sztab dowództwa powinien opracować konkretny program walki dla danego terenu. W świetle przykładów wyglądałoby to w sposób następujący:

Przykład pierwszy: Żyrardów — miasto stałego bezrobocia od lat kilku. Czy pomogą tu obrazki, przedstawiające patologiczne zmiany w ustroju pod wpływem alkoholu? Nie tędy droga. Oddział anty-alkoholowy żyrardowski powinien rozwinąć akcję w prasie, domagać się uruchomienia chociażby częściowego warsztatów pracy. Dla tych zaś, których warsztaty pracy nie zmieszczą, domagać się stworzenia *obozów* pracy. Dla jednych i drugich powinno się stworzyć możliwość kulturalnych i niekosztownych rozrywek.

Przykład drugi: Ojciec ciężki alkoholik, dzieci zapowiadają się na psycho-asteników. Stacja Opieki Przeciw-alkoholowej powinna skierować dzieci do zawodu wiejskiego, wykształcić je na ogrodników, pracowników rolnych. Współżycie z naturą jest bowiem jednym z najpotężniejszych środków przeciwdziałania złu.

Oczywiście, że każda podjęta walka wymaga ludzi wyszkolonych we władaniu specjalnymi gatunkami broni. Generalne dowództwo anty-alkoholowe musi wyszkolić zarówno generałów jak szeregowców. Generalne dowództwo musi wreszcie postarać się o sojuszników wśród innych towarzystw kulturalnych na swych terenach pracy.

O cóż mnie wreszcie chodzi — o wyeliminowanie z obozu działaczy anty-alkoholowych typu pracownika, kierującego się li tylko dobrem sercem i zwalczającego alkoholizm ogólnemi metodami, może *uniwersalnemi*, ale *mało wyspecjalizowanemi* i wskutek tego nieskutecznemi.

Prof. Dr. Mieczysław Michałowicz.

ZADANIA PAŃSTWA W WALCE Z ALKOHOLIZMEM, JAKO KLĘSKĄ SPOŁECZNĄ.

Referat wygłoszony na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość" w Warszawie, dn. 3.VI.34 r.

Nie zaprzeczy chyba nikt ustalonemu już dziś faktowi, że dla *każdego* narodu jest alkoholizm klęską społeczną; zbytecznem jest też dawanie na to dowodów, bo u *wszystkich*, mniej lub więcej kulturalnych narodów fakt ten bywał i bywa naukowo omawiany i stwierdzany. Zdawałoby się wobec tego, że każde państwo winno we własnym interesie zwalczać alkoholizm, jako klęskę społeczną, a zatem z równą energją, z jaką zwalcza np. epidemje chorób zakaźnych.

I nasuwałaby się tu mimowoli konieczność podjęcia tej walki drogą jasnej, możliwie najradykalniejszej ustawy, a nie tylko połowicznej (jak np. u nas, ustawy, z której pozostały obecnie jeno okruchy).

Tymczasem codopiero wykazała *Ameryka*, iż drogą ustawowej prohibicji, którą nie trudno jest przerwać, nie dochodzi się do ugruntowania i spopularyzowania zasad abstynencji, o którą walczymy, raczej wskazaną jest droga *ewolucji*, czyli utrwalania haseł *zupełnej wstrzemięźliwości* przez stałą o nich pamięć we wszystkich zarządzeniach i urządzeniach państwowych.

Trzeba zatem i uczuciowo i rozumowo wpływać na całe społeczeństwo, zwolna lecz stale, dając mu we wszystkich kierunkach rządów podłoże dla przejęcia się, często i bezwiednego, zasadami wstrzemięźliwości.

Wzniosła idea państwowości, której przecież pierwsze dał podwaliny *Bolesław Chrobry*, zawsze dążyć będzie do tego, by kierownicze rządy państwowe przy każdem swem poczynaniu szerzyły podniosłe hasła, dające narodowi moc i potęgę: jak oszczędność, pracowitość, wykonywanie obowiązków obywatelskich; lecz wśród tych haseł nie może zabraknąć hasła o wstrzemięźliwości. Przecież nie ma bodaj ani jednej *ważnej* komórki w ustroju każdego Państwa, w którejby nie wypadało, wręcz z rozumnego przewidywania, uwzględnić zasad wstrzemięźliwości i przyczyniać się temsamem do wychowywania trzeźwych zupełnie pokoleń.

Przejdę zatem szkicowo poszczególne działy administracji państwowej, w których winno znaleźć się i miejsce i uznanie dla szerzenia idei wstrzemięźliwości narodu.

Rozpoczynam od spraw *komunikacji*. Uwzględniając najważniejsze jej działy, a zatem tramwaje, autobusy, koleje żelazne, okręty, samoloty, widzimy ze stanowiska dzisiejszego stanu nauki o psychologji doświadczalnej i psychotechniki, iż na tem polu najtrafniejsze i najracjonalniejsze będą te przepisy, które postępy tych nauk w całej pełni uwzględniają. Wyświetlenie tej sprawy zapoczątkuję przedstawieniem drobnego — na pierwszy rzut oka — przeżycia mego z ostatnich bodaj dni. Otóż pewnego dnia, o zmroku, około 8½ wieczorem poszedłem do stacji autobusowej w *Poznaniu*, by dowiedzieć się o rozkładzie jazdy autobusowej, ponieważ wypadł mi wyjazd na dzień następny do

pewnego miasta w Poznańskiem. Odszukałem *szofera*, który miał za chwilę jeszcze wieczorem do tejże miejscowości się udać, by się u niego o programie jazdy dowiedzieć. Znalazłem go; uprzejmie odpowiadał mi na pytanie, nawet gadatliwie, był na twarzy czerwony, oczy miał szkliste, a z ust dobywał się mocny zapach alkoholu. Uważając, iż w tym stanie odurzenia alkoholowego szofer, aczkolwiek nie wyraźnie upojony, łatwo może spowodować nieszczęście, szukałem naczelnika ruchu, by o ile możności zastąpić tego szofera innym; niestety nie znalazłem go a tymczasem szofer ów w drogę programowo ruszył. Na szczęście nic się nie stało — ale czyż nie mogło się stać?

Otóż udowodnioną jest naukowo rzeczą, że nawet niewielkie dawki alkoholu *ujemnie* wpływają na ścisłość i dokładność naszych fizycznych i psychicznych funkcyj, tak niezbędnych przy kierowaniu samochodem. Małe bowiem a przedewszystkiem średnie dawki alkoholu sprowadzają szybsze *ośrodkowe* działanie na mięśnie i funkcje (więcej się mówi i więcej gestykuluje), jednakże dzieje się to *zawsze* ze znaczną ujmą dla koordynacji, t. zn. dla *logicznego uporządkowania* myśli, kojarzeń, a temsamem czynów. *Kraepelin*, światowej sławy uczony, badał np. w grupach trafność strzelania u żołnierzy bawarskich po dawkach 40 gr. alkoholu; stwierdził on w tych razach o 10% gorszy rezultat, przyczem podawano alkohol w mieszankach, które obecność jego maskowały, aby wyłączyć działanie sugestywne.

Niemniej znaną jest w świetle nauki doświadczalnej rzeczą, iż wpływ—nawet niezbyt wielkich—dawek alkoholu na sprawność kojarzeń jest na ogół ujemny; i tak np. odczytywano głoski *dobrze* przez ludzi normalnych, bez alkoholu, w *pierwszej* połowie godziny 82 razy, przez ludzi, którzy wypili 30 gr. alkoholu: 78; w *drugiej* połowie godziny przez pierwszych: 80 razy, przez drugich tylko: 59.

Ciekawe również wyniki daje doświadczenie za pomocą ergografów (zarówno ciężarowych, jak sprężynowych lub też innych), wykazujące (sam to stwierdziłem), iż pod wpływem alkoholu mięśnie w *początku* okresu doświadczalnego *lepiej* pracują, lecz później opadają w pracy — tak, że na ogół możnaby w sumie taki podać rachunek: ta sama robota fizyczna trwałaby *bez* alkoholu 8 godzin, przy użyciu zaś nawet nie wielkich dawek alkoholu 9 godzin. Lecz co najważniejsze — to również naukowo stwierdzony fakt, iż pracujący pod wpływem użytego, nawet miernie, alkoholu robią przy pracy *błędy, niedokładności i przeoczenia*, ponieważ myśli ich, jakby spłoszone, rozbiegają się i trudniej się skupiają.

Czyż na podstawie takich danych nie powinny się ukazać przepisy, aby *każdego* szofera, kierownika tramwaju, parowozu, okrętu czy samolotu, który przy mówieniu wydziela opary alkoholu, nie dopuszczać wogóle w tym dniu do podjęcia pracy zawodowej, bo drobne uchybienie z jego strony może spowodować wielkie nieszczęścia?

Czyż na tejże podstawie nie byłoby rzeczą wskazaną, aby z ludzi, starających się o takie odpowiedzialne techniczne stanowiska, wybierać w pierwszym rzędzie takich, co wykazać się mogą przynależnością do towarzystwa *abstynentów?*

Lecz nie dość tego. Dziś nauka udowodniła, że nawet u *przygod-*

nie alkoholem odurzonych (a więc u nie stałych alkoholików w ścisłem tego słowa znaczeniu) jest wyraźne *następcze* działanie alkoholu na fizyczne i psychiczne funkcje, to znaczy, iż następnego dnia po odurzeniu się alkoholem mimo pozornego zupełnego wytrzeźwienia są skutki alkoholizmu u odnośnych osobników. Ma to niesłychanie wielkie znaczenie dla etjologji nieszczęśliwych wypadków, na jakimbądź terenie lokomocji się zdarzających.

Wszystkie zatem władze śledcze winny badać sumiennie, czy podejrzani o spowodowanie nieszczęścia lokomocyjnego nie byli dnia *poprzedniego* odurzeni alkoholem. W bardzo wielu wypadkach stwierdzałem taki stan rzeczy; osobiście przekonany jestem, iż *olbrzymia* część nieszczęśliwych wypadków spowodowana bywa owem *następczem* działaniem alkoholu, gdy oko, ucho, czucie i kojarzenie myśli, jako podkład dla przytomności umysłu, prawidłowo nie funkcjonują.

Niemniej doniosłe znaczenie ma w walce z alkoholizmem dział opieki społecznej w Państwie. Pomijając już zupełnie konieczną i niezbędną działalność służby zdrowia publicznego, jako rzecz samo się przez się rozumiejącą, podnieść należy badanie stosunku alkoholizmu do *pauperyzmu*, tego niezdrowego i szkodliwego pierwiastka życia społecznego, który pod wielu względami jest niepożądany, bo hamuje zdrowy rozwój życia publicznego i prowadzi najniższe warstwy, nim dotknięte do występku i upadku moralności.

Poza tem może i *inspekcja* pracy wielkie przynieść zasługi dla wytrzeźwienia narodu, o ile wydawać będzie jeszcze więcej celowych zarządzeń dla środowisk i skupień pracy, a mianowicie w tym kierunku, by pod rygorami pracownicy nie pili w czasie pracy trunków alkoholowych, bo statystyka jasno wykazuje, iż najwięcej nieszczęśliwych wypadków zdarza się z powodu odurzenia alkoholem; albowiem i *następcze* działanie alkoholu, o którem powyżej mówiłem, odgrywa tu ważną rolę; ta sama bowiem statystyka wykazuje, iż największa liczba owych nieszczęśliwych wypadków przypada na poniedziałki i wszelkie dni poświąteczne, w których ludzie tak często alkoholem się odurzają.

Dalej — twierdzi się niejednokrotnie, iż jest rzeczą wysoce niepatrjotyczną pchać ludzi do zupełnej abstynencji, bo na tem *traci* monopol państwowy, a temsamem i skarb państwa. Otóż w tym względzie musi pomagać dział spraw przemysłu i handlu, który nietylko o eksporcie alkoholu pamiętać winien, lecz również i o tem, by przez łączność z *nauką stosowaną* dążyć do coraz nowych *wynalazków* dla zużywania spirytusu do celów *technicznych* i przemysłowych. Jest tu jeszcze wielkie pole do inwencyj i naukowych zdobyczy, do których polscy uczeni najzupełniej dorośli, lecz trzeba im dać finansową podstawę do tworzenia naukowych warsztatów ich pracy. Pamiętać trzeba o tem, że pokłady ropy naftowej kiedyś się skończą, a możność produkowania spirytusu w kraju rolniczym, jak *Polska*, zawsze pozostanie. Samowystarczalność zaś kraju musi być dla każdego narodu ideałem.

Ze spraw *wewnętrznych* Państwa, które są niejako szkieletem, na którym cały ustrój państwowy się wspiera i kształtuje, i które mają możność we wszystkich kierunkach swej działalności hasła wstrzemię-

źliwości propagować, wyróżnię jedynie dział bezpieczeństwa publicznego, *policję* państwową.

Wykładając pewien czas alkohologję w Szkole Policyjnej w *Poznaniu*, a przemawiając kilkakrotnie na kongresach antyalkoholowych do odkomenderowanych na wykład mój posterunkowych, miałem możność bezpośredniego zetknięcia się z tymi tak bardzo odpowiedzialnymi funkcjonarjuszami państwowymi i zbadania ich walorów, zalet, wad i podstaw, względnie warunków ich ciężkiej służby. Otóż przeważnie godzili się oni z tem, że bardzo utrudnia im spełnianie obowiązków nietrzeźwy osobnik, że zakałą i klęską życia rodzinnego jest alkoholizm, że stosunek alkoholizmu do wszelakich wybryków, przestępstw, niesubordynacji, zaburzeń i t. p. zdarzeń — jest bardzo bliski i że służba policyjna wymaga sprawności fizycznej i psychicznej, którą tylko dać może wstrzemięźliwość; dalej potwierdzali mi owi słuchacze to, że — o ile zaszły u nich w pełnieniu obowiązków jakieś niedopełnienia, czy też uchybienia, zawsze to miało łączność z użyciem alkoholu dnia poprzedniego, lub też tego samego, w którym te fakty miały miejsce. Lecz, co najsmutniejsze, — żalili się raz w raz dyskretnie owi słuchacze na publiczność, która ich często trunkami kusi, a nie rzadko do ich używania zmusza. Wynurzenia te szczere moich słuchaczy przygodnych, rzecz jasna, nie zbyt liczne, lecz prawdziwe i charakterystyczne, były wynikiem raz zaufania do mej dyskrecji, a powtóre tą nieprzepartą chęcią u niektórych posterunkowych podzielenia się tą bolączką społeczną.

Już może poprzednio wyłuszczone wyjaśnienia i definicje chyba dostatecznie udowadniają postulat, by właśnie funkcjonarjusze bezpieczeństwa publicznego byli osobnikami nawskroś wstrzemięźliwymi, bo jedynie wówczas posiadać mogą logikę czynu, postępowania, decyzji i sądu, oraz umiejętność szczególną celowego i mądrego obcowania z publicznością i ten tak bardzo pożądany *wewnętrzny spokój*.

Przytoczę tu wywody pewnego Japończyka, który, zapytany przezemnie, jaką jest służba bezpieczeństwa np. w jego stolicy i jak się tam zwalcza alkoholizm, odpowiedział mi mniej więcej tak: „Posterunkowi są u nas ludźmi nawskroś wstrzemięźliwymi, bo jedynie takich wypróbowanych ludzi do służby policyjnej się przyjmuje. Gdy posterunkowy — co się naogół bardzo rzadko zdarza — aresztować musi pijanego osobnika, odwozi go przy pomocy ściągniętego drugiego posterunkowego na specjalnym wehikule (rodzaju taczek), mającym pasy do przymocowania opornych, bez względu na stanowisko aresztowanego, do najbliższego szpitala; po wytrzeźwieniu puszcza się byłego „pacjenta" na wolność, jednakże tylko wtedy, gdy zapłaci koszta „djagnozy" i „leczenia", on, lub jego rodzina.

Utrzymywanie kontaktu urzędów policyjnych z poradniami przeciwalkoholowemi i ze wszystkiemi towarzystwami wstrzemięźliwości jakiegobądź typu jest również rzeczą ważną i bronią doniosłą w zwalczaniu alkoholizmu, jako bolączki społecznej.

By jednakże tę rolę policji we współpracy ze zwalczaniem alkoholizmu umożliwić, koniecznem jest urządzanie kursów alkohologji dla kandydatów na funkcjonarjuszów policyjnych, kursów, stojących na poziomie nauki obecnej w dziedzinie socjologji i równocześnie alkohologji.

Bardzo ciekawy sposób zwalczania alkoholizmu publicznego w obecnej chwili w *Sowietach* opisał mi pewien wyższy urzędnik, który był delegowany do środowisk życia sowieckiego urzędowo celem zbadania tamże urządzeń higjeny społecznej. Otóż człowieka odurzonego alkoholem odstawia policja do szpitala, gdzie się zawsze dokonuje przepłukania żołądka i pozostawia „pacjenta" aż do wytrzeźwienia; po opłaceniu kosztów tego „programowego leczenia", odstawia policja zdrowego już osobnika do domu, przed którym wywiesza się na tyczce napis, oznajmiający, iż w domu tym mieszka pijak. Skutek jest taki, iż członkowie rodziny alkoholika oraz mieszkańcy tego domu biorą w opiekę swawolnego osobnika, przynoszącego wstyd całemu domowi, by się jaknajszybciej pozbyć onej sygnatury niemiłej z przed domu.

O sprawach wojskowych i przysposobienia wojskowego oraz o wszystkich zrzeszeniach, przygotowujących kadry przyszłe żołnierza nie będę się rozwodzić, bo jasną dla każdego poważnego obywatela jest rzeczą, iż mundur żołnierza polskiego jakiejbądź rangi nie może się łączyć z jakąkolwiekbądź postacią odurzenia alkoholowego.

Gdym trzykrotnie z okazji kongresów przeciw-alkoholowych miał sposobność przemawiania do oficerów, zwracałem na to uwagę (popartą obserwacjami z życia), iż tężyznę oficera i najdzielniejszego, załamuje zawsze alkohol, wprowadzając go w długi oraz w konflikty honorowe, kończące się pojedynkami, bardzo w naszej odrodzonej armji niepożądanymi. Armja nasza jest wspaniała, jest naszą dumą, jest największą ostoją pokoju i rozwoju narodu, lecz trzeba z niej wyplenić jeszcze chwasty, które daćby mogły tło dla rozszerzania się alkoholizmu. Pierwszą w tym kierunku rolę działania przejąć winni lekarze sanitarni i oficerowie oświatowi i instruktorowie, pozatem przeszkolenie przejść powinni podoficerowie, dający pierwsze podstawy wychowania żołnierskiego. Są już coprawda jednostki wśród oficerów, które przykładem, słowem i pismem ideę wstrzemięźliwości szerzą — lecz jest ich za mało i stąd jeszcze do głosu nie przychodzą.

Jeżeli wspomniałem powyżej, iż alkoholizm daje przeważnie podstawę dla przestępstw, to nie potrzebuję dowodzić, iż wymiar sprawiedliwości nie może obojętnie przechodzić obok zagadnienia alkoholizmu. Czyżby wyroki sądowe, odnoszące się do obwinionych, którzy dopuścili się karygodnego czynu w stanie odurzenia alkoholem, nie mogły być zaostrzone przymusowym pobytem obwinionego w zakładzie dla alkoholików, lub też zawieszone z tem, że obwiniony wykaże się w oznaczonym czasie członkostwem jakiegoś towarzystwa wstrzemięźliwości i prowadzić będzie życie wstrzemięźliwe? Czyż towarzystwa opieki nad więźniami nie powinny się starać o to, by już w więzieniu mieli więźniowie za pozwoleniem władzy możność słuchania wykładów, względnie pouczeń o alkoholiźmie i jego łączności ze zbrodnią?

Ograniczam się jedynie do tych drobnych uwag, aczkolwiek jest dużo tematów na tle spraw sprawiedliwości, dotyczących profilaktyki w walce z alkoholizmem, bo pragnę szerzej rozwieść się nad kwestją najwięcej aktualną i wysoce doniosłą, mianowicie nad stosunkiem nauki alkohologji do wszystkich rodzajów szkolnictwa.

Każdy bezstronny obserwator rozwoju naszego szkolnictwa przy-

znać musi, iż na tem polu, mimo licznych reform, nie zawsze idących drogą ewolucji, zrobiono pozytywnie bardzo wiele, tak, że szkolnictwo obecnej doby pochwalić się może niejedną wysoce dodatnią i pedagogicznie wysoce wartościową inowacją. Przyznaję również, iż pod względem omawiania w szkołach (mianowicie niższego i średniego typu) alkoholizmu i prób pośredniego zwalczania go tu i ówdzie coś się dziać zaczyna, aczkolwiek w bardzo, bardzo skromnych rozmiarach. Otóż zdaje mi się, że dobrzeby było, aby już w najniższych klasach powszechnej szkoły i przedszkola rozpocząć naukę tę, by uczyć dzieci *litowania* się nad człowiekiem nietrzeźwym, który zachowaniem się swojem mąci spokój uliczny i bezpieczeństwo publiczne; *litowania* się — by uczucie litości torowało zwolna drogę do jego rozumu, który tą drogą ustali u dziecka świadomość, iż alkohol jest jadem, który — aczkolwiek czasowo — jednakże zatruwa narząd życia duchowego, mózgowie i jego pomocniczy aparat.

W szkole bowiem przeżywa dziecko „drugie" dzieciństwo; szkoła właśnie przejmuje rolę rodziców — wychowawców i sprawia, iż dziecko jest pod wpływem nauczyciela, z czego już Rzymianie utworzyli przysłowie: „jurare in verba magistri", czyli „przysięgać na słowa nauczyciela". I w okresie tegoż drugiego dzieciństwa (od r. 8 — 11) odgrywać winno *harcerstwo* czyli „system wychowawczy, dający psychice drugiego dzieciństwa możliwość realizacji naturalnych dla tego właśnie wieku popędów i instynktów", najważniejszą rolę w automatycznem odnoszeniu się do *zupełnej* wstrzemięźliwości, a temsamem do pośredniego zwalczania życiowych podstaw alkoholizmu.

Przecież harcerz, podpatrując przyrodę, zarówno zwierzęta, jak rośliny, nabiera chęci porównywania, zbierania, poznaje prawdziwe źródła *radości* życia, poznaje źródła tej czystej, szlachetnej swobody, hartuje ciało i wolę. A wszystko to osiąga na tle *zupełnej* wstrzemięźliwości, która jest jednem z głównych przykazań *prawdziwego* harcerstwa.

Przychodzi wiek *młodzieńczy*, czyli okres zaburzeń organizmu, tak fizycznych, jak psychicznych, powodowanych *dojrzewaniem płciowem;* w tym czasie pozostają w harcerstwie tylko starsi uczniowie, jako instruktorzy, inni zaś do innych udają się stowarzyszeń, które uzyskały aprobatę władz szkolnych. Jestto I okres wieku młodzieńczego (mniejwięcej do 17, 18 roku), w którym (bez względu na to, czy chodzi o szkoły średnie, czy też rzemieślnicze, dopełniające, seminarja, zawodowe) powinny być wygłaszane oficjalnie chociażby 4 — 6 wykładów przez rok o „alkoholiźmie". Natomiast w ostatnim roku szkolnym — przed maturą, przed opuszczeniem szkoły — powinien być w 2 ostatnich wykładach omawiany przystępnie lecz jasno stosunek alkoholizmu do chorób wenerycznych, które przecież przeważnie pod wpływem alkoholowego odurzenia się szerzą.

Otóż ten pierwiastek życia erotycznego, tak ważny dla późniejszego życia w wojsku, uniwersytecie, wogóle w samodzielnem życiu młodzieży, jako mający silny wpływ na unormowanie przyszłego życia wogóle — winien bezwzględnie być uwzględniany pod koniec pobytu w szkole średniej, lub jej podobnej, czy równoznacznej.

To też bardzo uznaję np. zabawy gimnazjalne (tańce) w szkole

pod dozorem dyrektora lub przedstawicieli grona nauczycielskiego urządzane, jakoteż wszelkie zabawy inne, wszelkie wycieczki i obchody, o ile traktowane są po abstynencku, to znaczy, gdy zupełna na nich obowiązuje wstrzemięźliwość; jedynie bowiem wówczas młodzież nauczy się wierzyć w to, że do radosnej zabawy, do szukania podniet towarzyskich absolutnie nie potrzeba — alkoholu, i to wierzenie, o ile dobrym przykładem starszych zostało utrwalone i umocnione, może jej na całe pozostać życie.

Nasuwa się teraz pytanie: kto ma tych rzeczy w szkole niższej i średniej uczyć? Otóż bezwątpienia winien to czynić lekarz szkolny, wyszkolony w tym kierunku nauczyciel lub też *psycholog szkolny*, bo próbuje się obecnie utworzyć pozycje stałych psychologów szkolnych.

Tak być powinno, lecz tak być nie może, dopóki szkolnictwo wyższe, a mianowicie *uniwersytety* nie zaczną szkolić i lekarzy, i filologów, i pedagogów i owych psychologów szkolnych w sprawach *alkohologji*.

Musi zatem powstać, chociażby na jednym uniwersytecie polskim, *katedra alkohologji*, którąby stała się warsztatem naukowym i zarazem owem centralnem środowiskiem tej wiedzy, promieniującem na całe obszerne pole wychowania młodzieży. Młodzieniec, oddający się jakimkolwiek studjom specjalnym na wyższych uczelniach, winien znaleść na nich sposobność otrzymania elementarnych chociażby podstaw nauk z dziedziny alkohologji. Dotąd jedynie Państwowa Szkoła Higjeny w Warszawie urządza raz w roku kurs z dziedziny alkohologji, który naprawdę w wysokim stopniu zaciekawia i kształci słuchaczów, bo wszyscy oni czują instynktownie, że kurs omawia rzeczy niesłychanie ważne dla zbiorowego życia społeczeństwa i że znajdują na kursie wyjaśnienie niejednej życiowej sytuacji i zagadki.

W powyższym krótkim szkicu wykazałem, ile to jest dróg, któremi łatwo kroczyć może wszechstronna administracja państwowa i przyczyniać się do zwalczania alkoholizmu, tej wielkiej klęski społecznej.

Poznań. *Prof. Dr. Paweł Gantkowski.*

CZEM SĄ KURSY
W SPOŁECZNEJ AKCJI PRZECIWALKOHOLOWEJ

(Na podstawie wyników ankiety wśród słuchaczy 7 Kursów Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie).*

Latem i jesienią r. 1933 została przeprowadzona ankieta wśród byłych słuchaczy Kursów Alkohologji Organizowane są te Kursy corocznie przez Państwową Szkołę Higjeny w Warszawie, z inicjatywy i przy poparciu Departamentu Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej (przedtem Ministerjum Spraw Wewnętrznych), wspólnie z Polskiem Towarzystwem Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość", począwszy od r. 1926, dla wychowawców społeczeństwa, a więc kapłanów i nauczycieli, jakoteż dla pracowników instytucyj publicznych i organizacyj społecznych, kulturalno-oświatowych, oraz wychowania fizyczne-

*) Inicjatorem i organizatorem omawianej „Ankiety" był Czcigodny Autor niniejszej pracy. (Przyp. Red).

go i sportowych. Słuchacze tych systematycznych Kursów mają gruntownie poznać zagadnienie alkoholizmu, zaznajomić się z najnowszemi metodami zwalczania tej choroby społecznej, leczenia jej ofiar i zapobiegania nadal klęsce alkoholizmu w życiu prywatnem i publicznem. A zatem celem tych Kursów dorocznych jest — w dobrze zrozumianym interesie Państwa — wytworzenie na obszarach Rzeczypospolitej zastępu wykwalifikowanych bojowników o trzeźwość narodu, o jego zdrowie duchowe i fizyczne, o kulturę i dobrobyt społeczeństwa. Z tego też względu słuchaczy powołuje się za pośrednictwem władz państwowych i samorządowych oraz organizacyj społecznych i kulturalnych ze wszystkich województw.

Kiedy zabierano się do przygotowania ósmego już z rzędu Kursu, organizatorzy postanowili sprawdzić, jaki też pożytek przynosi taka systematyczna ich akcja, jaki ślad trwalszy pozostawia takie coroczne szkolenie coraz to nowych paruset pracowników społecznych, którzy zabrawszy świadectwo z firmą państwowej uczelni w stolicy, powrócili do domu czy na placówkę swego zawodu i wieść o nich przepadła, zatracił się związek między nimi a kierownikami ruchu przeciwalkoholowego w Polsce. Rozesłano tedy do byłych słuchaczy pierwszych siedmiu Kursów odbytych w latach od 1926 do 1932 — 33, odezwę, podpisaną przez ministra dra Witolda Chodźkę, jako dyrektora Państwowej Szkoły Higjeny, i redaktora Jana Szymańskiego, jako kierownika i organizatora Kursów Alkohologji — z jednej strony, a z drugiej — przez prezydjum Zarządu Głównego Towarzystwa „Trzeźwość".

Do odezwy dołączono ankietę z zapytaniami czy były słuchacz z wiadomości uzyskanych na Kursie korzysta nadal w życiu własnem, w rodzinie, w zawodzie, w pracy społecznej; czy pracuje czynnie w jakiem stowarzyszeniu przeciwalkoholowem, lub w jakiej innej organizacji, instytucji, propaguje walkę z alkoholizmem; czy miewał wykłady, drukował prace z tej dziedziny i t. p. I wreszcie rzucono pytanie, czy zapisałby się do Koła byłych słuchaczy Kursów przeciwalkoholowych, bo centrala „Trzeźwości" widzi właśnie potrzebę, i pożytek dla sprawy, połączenia w takie Koło tych rozsypanych po calutkiej Polsce bojowników idei, chodzących luzem i przez to samo słabszych na swoim terenie pracy, pozbawionych oparcia o organizację kierującą ruchem w kraju, nieodbierających od niej nowych wiadomości, ni dalszych wskazówek...

Rozsyłając taką ankietę do półtora tysiąca osób, zgóry zdawano sobie sprawę, że procent odpowiedzi musi być nieznaczny z wielu względów, a nadewszystko dla tego, że adresy po kilku latach nie były już pewne, wszak nietylko nauczyciel mógł być przerzucony na przeciwną stronę państwa i nikt mu druku nie odeśle, ale słuchacz z r. 1922 był studentem jakiejś uczelni i według ówczesnego jego adresu niesposób go po kraju odszukać na nieprzeczuwanem dziś nowem stanowisku, zresztą trzeba się liczyć z wadą narodową naszą, że nie mamy zwyczaju odpisywać wogóle na listy i że jest w nas wszystkich na tym punkcie jakieś swoiste lenistwo.

Wszystko to uwzględniwszy, należy uznać za rzecz bardzo zadowalającą zdobycie w tak utrudnionych warunkach aż 10 procent odpo-

wiedzi. To zaś, co one zawierały — stanowiło w wielu wypadkach istną niespodziankę, a w wyniku ogólnym dało organizatorom — poza satysfakcją — przeświadczenie, iż właśnie Kursy systematyczne są istotnie najpożyteczniejszym działem akcji przeciwalkoholowej. Jednocześnie jednak odpowiedzi na ankietę pouczają kierowników, że ci do walki z alkoholizmem przeszkoleni przez nich społecznicy nie mogą być nadal pozostawiani w rozsypce jako partyzanci, opuszczeni na zbyt dużych rozłogach kraju, lecz muszą z luźnych oddziałów utworzyć jednolitą armję do bojowania z jedną z najuporczywszych chorób społecznych, armją, kierowaną ze stolicy przez „sztab główny", jak w prasie nazwano w czasie dorocznego Zjazdu delegatów Kół „Trzeźwości", naszą centralę.

Statystyka bywa nudną, ale jej cyfry pouczają. Dlatego rozpatrzmy się w tem, co nam powiedziała nasza ankieta, przyczem liczbowych zestawień możliwie unikając, wyłowimy z niej samą treść cenną. Pamiętajmy tylko, że nasze dane opierają się nie na podstawie wykazu półtora tysiąca osób, które przez 7 kursów przewinęły się, lecz jedynie czerpane są z materjału, jaki dostarczony nam został przez stukilkudziesięciu słuchaczy, nadal bliżej się sprawą interesujących i pragnących na przyszłość ścisłego z nami kontaktu.

Oczywiście najwięcej odpowiedzi uzyskaliśmy od słuchaczy ostatniego przed ankietą Kursu VII, bo 34, gdy z trzech poprzedzających go już tylko po dwadzieścia kilka, dalej z Kursu III zaledwie kilkanaście, a z dwu najdawniejszych po kilka, boć to lata 1926 i 1927, ale odpowiedzi od owych kursistów najpierwszych radują niezmiernie, gdyż przysłali je abstynenci wytrwali, pracownicy zasłużeni. Kobiety stanowią tylko czwartą część odpowiadających. Więcej niż połowa pochodzi od osób zawodu nauczycielskiego, wśród nich jest dużo kierowników szkół, a kilku instruktorów oświatowych. Z drugiej kategorji wychowawców jest 8 osób stanu kapłańskiego. Poważnie reprezentowany jest świat lekarski — cyfrą 16, w czem obok lekarzy jest parę osób z personelu sanitarnego. Dalej widzimy kilkunastu urzędników i tyluż kolejowców, oraz po parę osób z różnych innych zawodów, jak rolnicy, rzemieślnicy, handlowcy.

A skąd się słuchacze rekrutowali? Otóż najwięcej było ich z Warszawy, bo kilkanaście osób, a poza tem musielibyśmy tu wyliczyć setkę miejscowości dosłownie z wszystkich stron ziem Polski, bo istotnie na każdym kursie lista słuchaczy obejmuje wszystkie bez wyjątku województwa. Dalej interesuje nas wiek. Było kilka osób poniżej lat 20, poczem mamy między 20 a 30 słuchaczy 52, powyżej 30 lat osób 42, powyżej lat 40 jeszcze 21, następnie kilka osób ponad lat 50 i kilka powyżej 60, ale tutaj zauważyć musimy, że podawaliśmy wiek według tego, ile słuchacz miał lat w czasie Kursu i musimy dodać, że z tej ostatniej kategorji powyżej sześćdziesiątki nasi byli kursiści dzięki swej abstynencji wytrwałej liczą sobie w tej chwili już lat kilka ponad 70, trzymają się krzepko, świecą stale przykładem własnym i jeszcze przyjeżdżają na Kurs posłuchać nowszych z alkohologji wiadomości.

Wśród tych, co odpowiedzi przysłali, jest 8 osób, które przeszły Kurs dwukrotnie, nie licząc słuchaczy warszawskich, między którymi

znamy ludzi, co jeszcze więcej razy całego Kursu wysłuchali, a z ankiety mamy kilkakrotnie uwagę, że ktoś bardzoby pragnął odnowić sobie zakres wiadomości, co byłoby bardzo słuszne, gdyż alkohologja jest przecież nauką całkiem nową, opiera się na badaniach z lat dopiero ostatnich i każdy rok przynosi w tej dziedzinie zdobycze nowe, nieraz rewelacyjne, o których jeszcze pojęcia mieć nie mogli prelegenci z naszych pierwszych Kursów.

A teraz rzecz najciekawsza. Jak zareagowali dawni słuchacze nasi na zapytania ankiety, bądź co bądź niedyskretne, niejednego bardzo krępujące, gdy się zważy, że na odpowiedzi podpisywał się pełnem nazwiskiem z adresem i dodawał dokładne daty, gdzie i kiedy miewał jakie wykłady i t. p. Otóż na pytanie, czy słuchacz Kursu z przed tylu a tylu laty korzysta nadal z wiadomości tam uzyskanych, odpowiadano, jak można odnieść wrażenie, całkiem szczerze, otwarcie, bo kto się miał czego wstydzić, ten wcale na ankietę nie dał odpowiedzi, nie musiał. A więc rzecz najdrażliwsza: czy korzysta nadal w życiu własnem? Brak na to odpowiedzi w 3 wypadkach (jeden z nich dotyczy kobiety), a jest jedna odpowiedź „nie" i pochodzi od lekarza wojskowego, inny lekarz wpisał „częściowo", a pewien felczer „prawie tak", zresztą każdy odpowiadał, że w życiu własnem korzysta nadal z tego, co mu dał Kurs.

A drugie pytanie: w rodzinie? Odpowiedzi mamy takiesame jak powyżej: wszyscy „tak" z wyjątkiem owych paru osób. A w zawodzie swoim? Tutaj zawsze odpowiedź wypadła: „tak", nawet u owego lekarza, który przyznał, że w życiu swojem „nie". Wreszcie pytanie: w pracy społecznej? Otóż tu w paru miejscach znalazło się „nie — z powodu braku czasu", poza tem wszędzie potwierdzenie. A więc te cztery pytania dały odpowiedzi powszechnie radosne dla tych, którzy starali się w ciągu Kursu przekonać słuchacza o tem, że trzeba i w życiu własnem i w rodzinie swojej, jak i w zawodzie, jak wreszcie w pracy społecznej, praktycznie wykorzystać teorję szerzoną w wykładach.

Jeszcze radośniejsze uczucia budzą dopiski niektórych słuchaczy: „zostałem zdecydowanym abstynentem", „nie miałem ani kropli alkoholu w ustach", „złożyłem przyrzeczenie na całe życie", „mąż, który używał, przestał pić", albo w zawodzie dopisek nauczyciela, że ma przeszło tysiąc dzieci, z których zrobił abstynentów i t. p.

Z następnych pytań, czy pracuje czynnie w jakiem stowarzyszeniu, odpowiedziało przecząco 37 mężczyzn i 16 kobiet, a czy w jakiej innej organizacji propaguje walkę z alkoholizmem, odmowną odpowiedź dało 14 mężczyzn i 6 kobiet. Wykładów przeciwalkoholowych nie miewało wcale 9 osób, a prace z zakresu alkohologji drukowało osób 18 zpośród odpowiadających na ankietę.

Ale przypatrzmy się zkolei odpowiedziom pozytywnym na powyższe pytania co do dalszej pracy społecznej naszych byłych słuchaczy. Z nich przeszło sto osób, a między nimi wszyscy nauczyciele i wychowawcy, kapłani i lekarze, wykazują się pracą intensywną w dziedzinie walki z alkoholizmem, podają wyraźnie organizacje, w których dzia-

łają, wypisują tytuły swych wykładów, daty imprez, cyfry słuchaczy, wyrażają się o tem z zapałem i z zadowoleniem widocznem, lub właśnie z żalem wytykają stałe przeszkody, notują utrudnienia, stwierdzają braki i t. p. Jedni się żalą na brak przeźroczy odpowiednich, gdy o lampę projekcyjną łatwo, inni potrzebowaliby do masowego rozdawania propagandowej literatury, ten i ów wspomina, że trudno akcję prowadzić bez większych funduszów.

Ze szczerem uznaniem należy podkreślić zasługi nauczycielstwa na tem polu. Jedna po drugiej odpowiedź słuchaczy ze świata pedagogicznego mówi o licznych referatach na konferencjach nauczycielskich i o pogadankach popularnych na zebraniach rodzicielskich, wylicza lekcje przeciwalkoholowe dla dziatwy szkolnej, zakładane kółka abstynenckie wśród uczniów, ale oprócz tego akcję propagandową na terenie organizacyj takich, jak Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, Młodzieży Ludowej, Młodzieży Wiejskiej, to znowu Kółka Rolnicze, Straże Pożarne; jeden z nauczycieli miał w ciągu półroku 54 wykłady na terenie Związku Strzeleckiego w powiecie po świetlicach, częściowo nawet z wykresami, inny wygłosił na terenie swego województwa 50 odczytów z przeźroczami na kursach dla przodowników społecznych. A kursy wieczorne, a świetlice harcerskie, a koła gospodyń wiejskich, jakże się to często w odpowiedziach powtarza.

Tu i ówdzie spotykamy wiadomość o pogadankach w więzieniu, to znów dla rodziców członków jakiegoś ze stowarzyszeń młodzieżowych. Ktoś na kresach, jako kierownik Uniwersytetów Ludowych Związku Młodzieży Wiejskiej uwzględnił jako następstwo odbycia naszego Kursu zagadnienie alkoholizmu w 2 odczytach: „Zdrowie i byt człowieka a alkohol" oraz „Jakie możliwości daje nam polska ustawa przeciwalkoholowa" — i oba te wykłady będą co rok i we wszystkich uniwersytetach całego województwa. Ktoś pracujący stale i w Harcerstwie i w SMP, korzysta z ćwiczeń rezerwy i miewa dla wojska pogadanki przeciwalkoholowe w świetlicach, np. dla 900 strzelców. Ktoś miewa je w tartakach dla robotników, kto inny na kursach fachowych dla gospodyń, ktoś szerzy abstynencję wśród rodzin wojskowych, z któremi żyje.

Jeden z kierowników wyraża życzenie, by stworzyć koła abstynenckie wśród nauczycielstwa. Nauczyciel na kresach północnych wspomina o wykładzie, jaki w następstwie odbycia naszego Kursu miał na konferencji nauczycielskiej, na jego prośbę zwołanej przez inspektora w celu założenia szkolnych kół abstynenckich na terenie inspektoratu i wszczęcia akcji uświadamiania o alkoholizmie na zebraniach rodzicielskich w szkołach. Tymczasem kierownik pewien poważny w jednem z województw południowych, ukończywszy nasz Kurs, poprosił swoje kuratorjum o urlop 3-miesięczny celem urządzania wykładów przeciwalkoholowych po szkołach powiatu i organizacjach młodzieży pozaszkolnej, lecz władza mu odmówiła. Nauczyciel z Pomorza skarży się, że pracowałby chętnie szerzej niż to robi, gdyby nie brak poparcia ze strony władz administracyjnych, do których zwracał się o pomoc.

Przodownik Policji, który propaguje zdobyte na Kursie wiadomości wśród kolegów, dodaje uwagę: „chętnie chcę służyć pomocą

w tak trudnej pracy". Nauczycielka chwali się z dumą słuszną, że się jej udało wyrugować alkohol z przyjęć na zebraniach strzeleckich. Kilka razy znajdujemy wiadomość, że nasze Kursy miały pożądany skutek usunięcia kieliszków z przyjęć na konferencjach rejonowych nauczycielskich. Nauczycielka, która na terenie szkoły swojej założyła młodociane kółka abstynenckie, robi taką uwagę: „Rodzice bardzo przychylnie ustosunkowali się i chętnie pozwalają dzieciom należeć, ale wśród dorosłych praca ta idzie gorzej".

Lekarz powiatowy wygłosił szereg wykładów dla drużyn ratowniczych Pol. Czerwonego Krzyża i miał 700 słuchaczy. Higjenistka sprawozdanie z naszego Kursu ze streszczeniem wykładów wygłosiła przed lekarzami zakładu psychjatrycznego. Inna higjenistka pisze: „Wiadomości zdobyte na Kursie były dla mnie niewymownie cenne, ani dnia nie traciłam bez pracy w tym kierunku i nie było tematu ani środowiska, z któregobym nie skorzystała, by szerzyć walkę z alkoholizmem".

„Praca to trudna — powiada jeden z nauczycieli — ale gdyby była prowadzona systematycznie i z całkowitem oddaniem się prelegentów, da napewno rezultaty znaczne, przedewszystkiem jednak prelegent musi w to wszystko wierzyć co mówi. Dobrzeby było, gdyby wszędzie na pewnym terenie choćby 2 czy 3 osoby zabrały się do tej pracy". A inny nauczyciel kończy odpowiedź tak: „Inicjatywę wyrażoną w odezwie uważam za bardzo szczęśliwą i wierzę, że wspólnemi siłami prędzej i skuteczniej zwalczymy nieszczęsny nałóg". „Idea wyrażona w odezwie — woła jeden z pracowników kolejowych — godna jest jak najszerszego poparcia i wprowadzenia corychlej w czyn".

O co idzie? Zakończyliśmy ankietę zapytaniem, czy adresat zapisze się do Koła byłych słuchaczy Kursów przeciwalkoholowych. Otóż wszyscy odpowiedzieli na to twierdząco, z wyjątkiem kogoś, kto obawiał się kosztów, aleśmy mu zaraz dali znać, że bynajmniej nie myślimy o pobieraniu jakichś składek.

Zapytani o to, czy chcą do takiego Koła należeć, słuchacze ostatniego naszego Kursu, ósmego już z rzędu, odbytego w Warszawie, w roku szkolnym 1933 -34, (nauczycieli 30, kapłanów 22, lekarzy i osób personelu sanitarnego 22, delegatów organizacyj społecznych 18, pracowników Policji Państw. 7, Kolei Państw. 14, studentów i innych 10) oświadczyli jednomyślnie, po wysłuchaniu sprawozdania z ankiety, że chętnie do takiego Koła wstąpią.

A wciągniemy do niego i tych jeszcze, którzy zaniedbali odpisać na ankietę, lub których dla złego adresu ona nie dosięgła, a którzy na niwie naszej od czasu odbycia przeszkolenia na Kursie warszawskim są stale czynni. I wejdą do Koła wreszcie liczni słuchacze innych Kursów przeciwalkoholowych, któreśmy urządzali poza Warszawą, jak w Krakowie, Łodzi, Radomiu, Kowlu, z udziałem prelegentów pierwszorzędnych, niektóre na dużą skalę.

Ankieta nasza wykazała, że ruch przeciwalkoholowy wymaga niezbędnie tej więzi między partyzantami dla stworzenia stałej, coraz

liczniejszej armji do walki z alkoholizmem. Wyniki ankiety naszej udowodniły, że w interesie Państwa i społeczeństwa jest utrzymanie nadal corocznych systematycznych Kursów Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie, organizowanie ich w coraz większym zakresie i na coraz szerszych terenach społecznych.

Kraków.

Kazimierz Kalinowski

PRZEMÓWIENIE MARJI MOCZYDŁOWSKIEJ-NIEKRASZOWEJ NA POGRZEBIE Ś. P. ZOFJI DASZYŃSKIEJ-GOLIŃSKIEJ

W imieniu „Trzeźwości", Polskiego Towarzystwa Walki z alkoholizmem, pragnę pożegnać ś. p. Zofję Daszyńską-Golińską, przez śmierć której polski ruch przeciwalkoholowy traci nie tylko wybitną działaczkę, nie tylko znakomitą znawczynię, ale niestrudzoną bojowniczkę, ale ukochanego człowieka, członka naszej abstynenckiej rodziny, tej rodziny, wśród której ś. p. Zofja Daszyńska-Golińska spędziła kilka godzin ostatniego dnia swego życia na Akademji Przeciwalkoholowej dn. 11-go lutego, mówiąc do mnie: „a jednak nas jest coraz więcej". Żegnam Cię, Czcigodna Pani, w imieniu szerokich mas kobiecych, którym alkoholizm rujnuje ich królestwo domowe, a których ból wyczułaś; żegnam Cię w imieniu całego korowodu polskich dzieci, chowanych w atmosferze alkoholizmu, które z trwogą czekają powrotu ojca pijaka, lub z niepokojem patrzą w wypłakane oczy swych matek, dzieci, które nie mogą być pogodne ani szczęśliwe, a którym Ty chciałaś przyjść z pomocą; żegnam Cię w imieniu kobiet, które porwane Twoim przykładem, pragną przeprowadzić walkę aż do zwycięskiego końca o czystość domowych ognisk; żegnam Cię wreszcie w imieniu szerokich kół polskich abstynentów, którzy przez usta moje ze wszystkich stron polskiej ziemi ślą Ci dzisiaj, Pani, słowa czci i hołdu.

ŁOWIECTWO DAWNIEJ I DZIŚ.

Pod łowiectwem w czasach dawnych rozumiano sztukę zdobywania zwierzyny. Określenie takie było odpowiednie niegdyś, obecnie łowiectwo stanowi odrębną gałąź gospodarstwa, obejmować więc musi również racjonalną hodowlę zwierzyny.

Łowiectwo nie różni się niczem od innych gałęzi pokrewnych, związanych z gospodarstwem rolnem i w naszym bilansie handlowym może zająć stanowisko dość ważne, a mianowicie: eksport zwierzyny bitej łownej, wyprawa skór, wzmożenie się przemysłu garbarskiego w kraju i t. p.

Wrogiem racjonalnego łowiectwa jest kłusownictwo, wnykarstwo i tępienie zwierzyny przez nieuspołecznionych myśliwych.

W miarę wzrostu kultury, tępienia drapieżników i udoskonalenia broni palnej drobna zwierzyna rozmnaża się, wykazując, że tam, gdzie kultura stoi wysoko, tam i zwierzostan jest pierwszorzędny.

Myśliwy jest przedewszystkiem człowiekiem, miłującym przyrodę w całem znaczeniu tego słowa.

Tak pojęte łowiectwo jest pożytkiem dla zdrowia myśliwego, oraz pomnaża nasze zasoby gospodarcze.

W dawnej Polsce, łowiectwo, było rozrywką zmonopolizowaną dla siebie, przez dwór, szlachtę i rycerstwo.

Średniowieczne polowania odbywały się w Polsce, jak zresztą w całej Europie, głównie z udziałem konia.

Grubszego zwierza t. j. żubra, tura, dzika, jelenia, ścigano konno przy udziale sfory psów, rażono po drodze z łuków, kusz, a osaczonego zwierza przez psy zabijano oszczepami. Wilki, lisy i zające szczuto chartami. Na ptactwo polowano ze sokołami.

Ulubioną a niebezpieczną zabawą myśliwską było wypłaszanie niedźwiedzia z zimowego barłogu i walka z nim przy pomocy oszczepu.

Na obrazach średniowiecza dotyczących scen myśliwskich, odnosi się to w szczególności do malarstwa niderlandzkiego XVII w. widzimy myśliwych podczas polowania i po polowaniu. Przerażają widza olbrzymie beczki, napełnione winem oraz obrazy rozlicznych orgji pijackich po łowach.

W kronikach polskich XV i XVI w. podawano nietylko ilość ubitej zwierzyny, ale również ilość wypitego wina i gorzałki, co dochodziło nieraz do liczb niesamowitych. Za Sasów polowania, jako sposobność do pijatyki, stały się zwyczajem.

Dzisiaj nie jest lepiej. Po polowaniu pijatyka i karciarstwo stały się prawie powszechnym zwyczajem. Wypadki na polowaniu, z powodu nadmiaru użycia alkoholu stają się coraz częstsze. Ze stanowiska bezpieczeństwa samych myśliwych należałoby zabronić raczenia się podczas samego polowania wódką.

Na dziesięciu umiarkowanie pijących myśliwych zawsze się znajdzie jeden niepoczytalny pijanica i awanturnik. Na stanowiskach zachowuje się hałaśliwie, płoszy zwierzynę, zapomina zwykle rozładować fuzję, a strzela tak, że trafi częściej sąsiada aniżeli zwierzynę. Jeżeli po polowaniu myśliwi nieraz zatruwają się nadmiarem alkoholu to szkodzą swemu zdrowiu tylko, natomiast podczas polowania pociąganie co chwila przez myśliwego z manierki gorzałki, przytępianie świadomości, lekceważenie bezpieczeństwa innych myśliwych, manewrowanie ryzykowne bronią jest czynem nie do darowania.

Piszę jako myśliwy, te przykre nieco uwagi w nadziei, że trafią skutecznie tam, gdzie należy, uwalniając ogół myśliwski od pijaków i lekkoduchów.

Łódź. *Aleksy Rżewski.*

OBYCZAJE I NAŁOGI

Człowieka wychowują obyczaje. Obyczaj otacza nas w ciągu całego naszego życia, przylega do nas ze wszystkich stron, jak szata; w obyczajach wzrastamy — żyjemy i nawet schodzimy do grobu.

Obyczaje narzucają nam postępowanie. Obyczaje, któreśmy, że tak powiem, wchłonęli w dzieciństwie i młodości towarzyszą przez ca-

łe życie. Słusznie przysłowie mówi: „Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci". Obyczaje niezmiernie często przechodzą w nałogi. A nałóg to już choroba i często ciężka choroba. To mając na widoku chciałbym prześwietlić te obyczaje nasze, które mają wpływ na nałóg alkoholizmu — poprostu pijaństwa.

A więc: obyczaj jest ojcem nałogu.

Nałóg! to już choroba ciężka nieraz i uparta, chroniczna, a co najgorsze — *dziedziczna* a zwłaszcza pijaństwo.

Ale choroby powstają w warunkach sprzyjających, np. reumatyzm gnieździ się tam, gdzie wilgoć, nałóg zagnieżdża się tam, gdzie obyczaje przygotowały dla niego grunt podatny.

Lekarze, praktycy mówią: Wielu chorób uniknąłby człowiek, gdyby zachował — gdyby mógł zachować higjenę, gdyby mógł żyć w warunkach *higjenicznych*. Otóż, czy obyczaje ludzi nie są higjeną ich życia? Postarajmy się prześwietlić te nasze obyczaje, a zwłaszcza w stosunku do alkoholu.

Zacznijmy od początku, od zarodku życia, kiedy to różne czynniki od nas niezależne wpływają na nasze życie. Nie może człowiek niestety obierać sobie rodziców, to też za dziedziczność nie powinien być odpowiedzialny.

Niestety, widzimy, co dzieci w tym wypadku spotyka, jako kara za winy niepopełnione. A więc urodziło się dziecko — taki mały — malutki — człowieczek — czasem oczekiwany i pożądany, a często nie pożądany, a oczekiwany z lękiem i bojaźnią, bo oto przychodzi człowiek, a niema dlań miejsca przy stole życia.

Ale przyszedł, a przeto „*odwiecznym*" obyczajem trzeba go „godnie przyjąć", godnie, to znaczy *ucztą*. Te uczty urodzinowe mają swe źródło w tem, że: w dawnych czasach przyjście na świat człowieka było *zdarzeniem radosnem*, z czasem to się zmieniło. Dziś, zwłaszcza w czasie ogólnej biedy — nawet nędzy — zwłaszcza ludzi ciężkiej fizycznej pracy — gdzie powiększenie rodziny znaczy powiększenie tej nędzy stąd przyczyny do radości niema, a przeciwnie przybyła troska, a jednak ponad wszystko mocniejszy obyczaj — nawet w rodzinie nędzarza każe obyczaj przyjście dziecka obchodzić ucztą, rozumie się przedewszystkiem używaniem alkoholu.

Uczta ta nazywa się *chrzcinami*, jak — że tego nowonarodzonego „człowieka" i kandydata na obywatela ochrzcić należy i tu widzimy potęgę obyczaju, który przetrwał nie już wieki — ale tysiąclecia.

Rozumie się, obyczaj to zły, niemądry i jednakowo niemądry na każdym szczeblu drabiny społecznej. A w życiu? Co się dzieje? Toż każda sposobność wprost wyzyskaną bywa, jako okazja do *uczty*, i jeżeli nie w domu przy suto zastawionym stole, to chociaż w t. zw. „restauracji" czy karczmie przy butelce i kuflu. Chrzciny, wesela, pogrzeby, t. zw. stypy, wszystko to są okazje do picia. Tak nakazuje wielki władca i pan „Obyczaj"; spotyka on człowieka — dziecko przy urodzeniu, towarzyszy mu przez całe życie, równie dobrze w zdarzeniach radosnych, jak i smutnych i odprowadza go na cmentarz. Oto czem są obyczaje.

I nie pomoże tu ani moralizatorstwo, ani nawet smutne doświad-

czenie, obyczaj jest mocniejszy od morału, więcej przekonywujący od doświadczenia; obyczaj, to coś takiego, co zżyło się z człowiekiem, co mu weszło w szpik i krew, co mu ujarzmia rozum, obezwładnia wolę, co go zmusza być posłusznym przez pokolenia. Obyczaj trwa, chociaż nawet giną lub się zmieniają ustroje, cywilizacje, kultury, wiary i obrzędy.

To też ażeby można prowadzić walkę zwycięską z alkoholizmem, trzeba prowadzić walkę ze złymi, a zadawnionymi obyczajami; będzie to zapobieganie przez *„higjenę"* życia chorobie — *nałogowi*. Zapewne, że chciwość ludzka, niewiedza ludzka, są czynnikami, konserwującymi stare a zdrożne obyczaje, niemniej jednak utrwalone obyczaje są pniem, na którym rosną szkodliwe nałogi, czyli choroby.

Obyczaje *uczt* zdają się niewinnymi, a nawet społecznie nieuniknionymi, bo jakże uczcić, powiedzmy kielichem pieniącego szampana, uczty dyplomatycznej?

Doprawdy źleby to wyglądało, to też, niestety, widzimy, że z tych uczt dyplomatycznych pozostają tylko próżne butelki, a mowom na tych ucztach wypowiedzianym nikt rozsądny nie wierzy, ani też żadnej wagi do nich nie przywiązuje; podobne bowiem są one do przepowiedni o pogodzie lub słocie, jakie drukowano w starych kalendarzach, które czytali starzy ludzie *„duchem prości"*. Czytali, ale im nie wierzyli i prac swoich w rolnictwie do nich nie stosowali.

A jeżeli uczty dyplomatyczne nie dają żadnych rzeczywistych korzyści, a są tylko wyrazem nieobowiązującej grzeczności towarzysko-obyczajowej, to już w życiu prywatnem, uczty z użyciem trunków, oprócz szkody materjalnej, złego przykładu dla rodziny i otoczenia nic nie przynoszą i przynieść nie mogą; przeciwnie są one wstępnymi krokami do nałogów.

Bo zważamy tylko: W rodzinie X przy każdej okazji, a nawet i bez okazji, butelka na stole, pije ojciec dla apetytu, matka dla towarzystwa, brat podrostek dla fantazji, a małe dzieci chociaż kieliszki wysączą — przyuczają się do picia.

I oto my, ludzie trzeźwi, musimy stwierdzić, że ta rodzina, co takie ma obyczaje już jest na drodze do nałogu. To ludzie prości, a t. zw. inteligencja, a „możni tego świata",? Tam jeszcze stokroć gorzej, tam panuje wyuzdanie i bezwstyd pijacki.

Przypominam sobie, jak dwadzieścia kilka lat temu w Krakowie u Hawełki, gdzie poszedłem wypić szklankę herbaty, przyszło kilkunastu panów, obsiedli duży stół, służba zaczęła im znosić ogromne kufle piwa, potem i inne trunki, tak że za jakąś godzinę za tym stołem siedziała gromada ludzi pijanych, którym się z głów kurzyło, którzy mówili bardzo głośno, słowem, byli to ludzie zupełnie pijani. Zapytałem kelnera, starszego człowieka, co to są za panowie? Odpowiedział: *„Nauczyciele gimnazjalni"*. Doprawdy smutno mi się zrobiło, jakże to? *nauczyciele* w publicznej knajpie piją do upicia się? Ale ci panowie *„profesorowie"* gimnazjalni mieli już taki „obyczaj", ażeby po pracy zajść do Hawełki i odpocząć przy kuflu i kieliszku w „dobrej" kompanji.

Cóż robić — „Obyczaj". A jednak z obyczajami można walczyć

nawet z dobrym skutkiem. Za czasów mojej służby wojskowej lat temu blisko 50, a było to w mieście Rostowie, Jarosławskiej gubernji, miałem kolegę i przyjaciela, już oddawna zmarłego, ś. p. J. Z.; był ten mój przyjaciel przełożonym szkoły felczerów, było tam kilku uczniów coś 8 — czy — 9, mieli duży pokój jako „kłas", gdzie stały 2 ludzkie szkielety, służące dla nauki, i sypialnie.

Uczniowie w większości byli rosjanie, J. Z. był Polak. Otóż często w niedzielę i święto odwiedzałem tego mojego druha i tak pomału zrobił się z tej szkoły *„klub towarzyski podoficerów"*, tej brygady ludzi przyzwoitych, nawet oczytanych.

Wiadomo, że rosjanie ogromnie lubili pić, my polacy nie, to też z początku nie obchodziło się bez *„Smirnówki"*, koledzy nasi rosjanie nie umieli obyć się bez wódki, my polacy nie piliśmy zupełnie, i nasz przykład podziałał; zebrania nasze trwały, ale już „Smirnówka" do naszej gromadki nie miała przystępu, piliśmy herbatę zamiast wódki, kupowaliśmy mięso i pieczywo białe, czas nam przechodził przyjemnie, śpiewaliśmy pieśni na przemian *polskie i rosyjskie.* I nasi koledzy rosjanie radzi byli, że bez wódki, na *trzeźwo* przyjemnie, po koleżeńsku spędzaliśmy czas. Pewnie już nie żyją ludzie, cośmy razem łeb złemu obyczajowi ukręcili; powtarzam, rosjanie bardzo lubili *„Smirnówkę"*, ich było więcej, a przecież przekonaliśmy ich i oduczyli od wódki w naszem koleżeńskiem kółku.

Dziś w Rosji, za pijaństwo komuniści z partji wyrzucają. Zmienia się tam nawet obyczajowość. Ale u nas, w domu naszym, w Niepodległej Polsce „obyczaje" nawracają do czasów Saskich. W te to czasy „popuszczano pasa" i tak gruntownie, że o zakład kładziono się pod czop beczki z winem i... kto też dłużej wytrzyma. A czyż czem innem jest ów arcypijacki wyczyn z dnia 31.12 ub. r., o którym czytaliśmy w „Trzeźwości" (Nr. 11 — 12 r. 1933, str. 254).

Doprawdy Saskie czasy wracają t. zw. inteligencja wyprawia ohydy, zaczyna cuchnąć, a ponieważ inteligencja ma się za głowę — za mózg narodu, przeto należy się obawiać, że będzie źle, bo „ryba od głowy cuchnie". Za czasów Saskich Polska była o wiele obszerniejsza, rody magnackie zagarnęły wszystkie bogactwa. 25.000 kilometrów kwadratowych powierzchni zajmowały ziemie jednego magnata, jak pisze profesor Fr. Bujak, gdzie dziś to wszystko? Ruiny i zgliszcza — przy złych pijackich obyczajach, przepito niezmierne skarby.

Dziś mówi się o Polsce *„mocarstwowej"*, mówi się coraz częściej— tem więcej i tem bardziej należy pamiętać, że podstawą siły i potęgi Państwa są dobre obyczaje, a ich warunkiem głównym, niezbędnym, nieuniknionym jest trzeźwość powszechna! Tymczasem...

Obyczaje stare powstają z nową siłą. „Zatrute źródła dochodu" tak prywatnego jak i publicznego mają „zbogacić" jednych i drugich! Czy zbogacą? Wątpię, ale, że zatrują organizmy obecnie żyjącego pokolenia, że zatrują krew przyszłych pokoleń, że osłabią wolę, że wywołają nałogi, złe, zgubne, często ohydne i haniebne, to można napewno twierdzić. Złe, zdrożne obyczaje są zapowiedzią klęski i nieszczęść; jeżeli będziemy uważnie przypatrywać się naszemu życiu, to

zauważymy że: po dniach „górnych i chmurnych", jakieśmy przeżyli na początku naszej niepodległości, po tych — jeżeli wolno tak powiedzieć „miodowych miesiącach" — nastąpiła jakaś szarzyzna życia, jakiś upadek wiary i nadziei, z jakichś kątów, z pod ziemi wypełzły „*widma przeszłości*" i rozlały się, jak brudna fala, po naszem życiu, zatruwając i niszcząc zdrowie narodu. Jesteśmy, jak ludzie, co uciekają przed życiem, przed jego surowymi obowiązkami, i nie mniej surowszą odpowiedzialnością.

Szukamy pijackich zabaw i wmawiamy w siebie, że są to objawy „tężyzny"; słabość i zanik woli, podnosimy, jako zasady życia. To też już mamy skutki takich wyczynów. Oto przykład i to jeden z wielu: ktoś — powiedzmy p. W. zdobył miljony. „Panem został". Ma kucharza i piwnicę, może przyjąć i ugościć dobrze, i wielu, to też nie brak mu gości, odwiedzają go „persony" bo — ma pieniądze i umie ich użyć, bo ma kucharza i piwnicę, może karmić i poić; u nas w Polsce przecież przysłowie ukuło się — że „czapką, kapką, papką, solą, rolą i wolą, ludzie ludzi niewolą". Tak pewno było od króla Ćwieka i tak pozostało.

A przecież historja dowodzi że: upadek kraju zaczął się upadkiem ludzi, upadkiem *klasy rządzącej*, upadkiem dobrych obyczajów. Oto ks. Walerjan Kalinka w swojej „Historji Sejmu czteroletniego" pisze: (księga 5-ta str. 622 — 26) że kiedy *arcyszelma* książę Adam Poniński został po długich, ciężkich, a i niecnych mitręgach sądu osądzony na „wyświecenie" z Warszawy, czego jednak ze względu na „książęcy splendor" nie wykonano, ale wywieziono go wieczorem pocichu, żeby księciu nie czynić wstydu. Ale za rogatkami wolskiemi stała jego kareta i czekali nań „liczni przyjaciele"; karetą więc i w otoczeniu przyjaciół pojechał ten publicznie napiętnowany łotr do wsi Chrzanowa, majątku swojego syna, tam ubrał się w mundur moskiewski, przypiął do zbrodniczej piersi moskiewskie ordery i ucztował z przyjaciółmi całą noc. A rano pojechał na Powązki do pałacu księżny Lubomirskiej, wdowy w cudzych krajach bawiącej, i wydał obiad na 40 osób, a potem przez kilka dni wyprawiał uczty, na które co dzień przyjeżdżało z Warszawy po kilkanaście karet gości, ucztujacych u arcyszelmy i zdrajcy, którego bano się osądzić wedle jego zbrodni na szubienicę. Takie to były obyczaje upadającej Rzeczypospolitej i szlacheckiej Polski w czasie sejmu czteroletniego w 1790 r. — 144 lat temu.

„Czapką, kapką, i papką", „pięścią, gardłem, i butelką służono— swej ziemi" a kto lepiej pił, kto głośniej krzyczał, kto mógł wydawać krocie na hulatyki i suto przyjmować gości, tego nie pytano, skąd ma na to, ale chciwie korzystano z kuchni i piwnicy. Takie były obyczaje, takie były nałogi, taką była choroba rządzącej klasy narodu. Doprawdy, warto te sprawy przypominać, warto i trzeba, ponieważ wskrzeszeni do życia przez straszliwy huragan dziejowy, żyjący może w przededniu nowego i jeszcze okropniejszego wstrząsu, nie wiemy, jaki okres czasu dany nam jest, ku naszej odbudowie moralnej i czy zdążymy wypełnić pracę dziejową, jaką przeznaczenie nam naznacza?...

Obyczaje, toż przeszłość nasza dziejowa uczy nas, co one znaczą. Od dobrych obyczajów zależy szacunek tak dla ludzi pojedyńczych,

jak dla rodzin — jak i dla narodów w rodzinie ludów. Zapewne tak każdy człowiek pojedyńczy, jak rodzina i jak naród, ma różne cechy dodatnie i ujemne, chodzi o to, które stanowią cechę dominującą — naczelną. Otóż alkoholizm, jeżeli staje się cechą dominującą narodu — jakoby uszczerbieniem — jego obyczajowości, to jest już z tym narodem źle i bardzo źle; albowiem alkoholizm jest trucizną, zatruwającą przyszłe pokolenia. Alkoholizm dziedziczą dzieci i wnuki i trzeba pokoleń, ażeby oczyścić zatrutą krew alkoholików. Weźmy Rosję: otóż przed wojną i w czasie wojny różni uczeni i badacze, poważni ludzie, co w tej carskiej Rosji byli, co ją badali, i co badania swoje opisali, zgadzają się na jedno. Rosja carska była zalkoholizowana, lud zalewał się „Smirnówką", inteligencja opijała się wszelkiego rodzaju trunkami, bogacze i dygnitarze upijali się szampanem. „Szampan lał się, jak woda", pisze o Moskwie i Petersburgu R. H. Bruce Lockhart, w swoich pamiętnikach. Rosja przedwojenna nasiąkła alkoholem od góry do dołu. Dziś tam i na tem polu następują ogromne przemiany. A u nas? Co to mówić: cofamy się. „Zatrute źródło dochodu" ma nas zbogacić, powiększenie miejsc sprzedaży alkoholu ma poprawić nasze finanse, trucizna ma nas uzdrowić. Obyczaje najgorszych czasów naszej przeszłości — owe poczwarne „widma" powracają. Walka z „widmami przeszłości" wywołuje drwiny wśród pijackiej „tężyzny", która umiejętność chodzenia „koło szkła" uważa za cnotę obywatelską. I doprawdy skutki nie kazały na siebie czekać.

Więzienia przepełnione, przestępczość wzrasta, za mało już więzień, w których nie tylko t. zw. plebs osiada, ale i intelekt, dla którego droga do tego rodzaju pensjonatów prowadzi przez modną restaurację z gabinetami, i t. d. i t. d. Marnieją i marnują się ludzie, ponieważ złe obyczaje przerodziły się w *nałogi*, z których już ciężko będzie powstać.

Tomasz Nocznicki.

PROPAGANDA PRZY KIELISZKU ZAWODNA.

Na ostatnim dorocznym Zjeździe delegatów naszego Towarzystwa usłyszeliśmy charakterystyczne przemówienie delegata wiejskiego Koła w Puzewiczach z Grodzieńszczyzny, p. Daniela Skwarniuka.

Mówiąc o trudnościach, jakie spotyka się przy agitacji we wszelkich sprawach, podał nam, jak na wsi białoruskiej schodzą się miejscowi gospodarze i jak rozpoczyna się zwykle między nimi rozmowa. Schodzą się więc wolno i leniwie na zebranie zaproszeni gospodarze, rozsiądą się gdzie kto może i siedzą bezmyślnie, milcząc, oczekując aż ktoś rozpocznie dyskusję, czekają i milczą, a oglądają się, kiedy nareszcie przyniosą wódkę. Gdy podadzą pierwszą butelkę, zaczyna się objawiać pewien niepokój od kogo też rozpocznie się kolejka — po pierwszej i drugiej kolejce nikt jeszcze nie przerywa ogólnego milczenia, ale już na twarzach zjawia się przy tępym i bezmyślnym wzroku jakiś błogi uśmiech, po trzeciej i czwartej kolejce rozglądają się i zachęcają znanych mów-

ców do zabierania głosu, wszyscy czekają i słuchają, a mówcą zwykle staje się ten, kto ma najsłabszą głowę i na kogo wypity alkohol najsilniej działa; mówi długo, rozwlekle i nudnie, mówi o rzeczach, które nikogo nie interesują, słuchają go wszyscy, ale mało rozumieją, gdyż sam mówca nie wie, co mówi; po następnych kolejkach obraz się zmienia, mówią wtedy już wszyscy, jeden drugiego chce przegadać, przekrzyczyć, a nikt nikogo nie słucha, nie rozumie.—Mówią i krzyczą wszyscy.

Taki efekt wywołuje samogonka na mało kulturalne środowisko głuchej białoruskiej wsi.

W innem środowisku, pozostającem pod wpływem innych wyrobów alkoholowych, zaliczanych do kategoryj szlachetniejszych, obraz będzie bardzo podobny, a alkohol w każdej postaci czy to wyborowej wódki, czy piwa, wina, likierów ,szampana, czy nawet domowych win owocowych, zawsze jest alkoholem — trucizną i zawsze z ludzi spokojnych, zrównoważonych, robi bandę rozwydrzonego bydła, które jest skłonne do bezmyślnego spędzania czasu, a nawet nieraz do najgorszych ekscesów.

Od warstw najniższych do najwyższych: robotnik, rzemieślnik czy też kupiec, bankier, kapitalista, kamienicznik, ziemianin, magnat, arystokrata, o ile jest pijany, a szczególniej w większej kompanji — stanowi bandę pijacką; taką samą bandą będą grupy inteligencji, o ile dadzą folgę swemu nałogowi. Grupa nauczycieli na miesięcznej konferencji, oficerów w kasynie wojskowym, urzędników na zjeździe, księży na odpuście, ziemian na jarmarku, o ile dopuści użycie alkoholu, niczem się nie będzie różnić od grupy ciemnych chłopów, których tak wymowny obraz podał nam Delegat z Puzewicz.

Wszystkie te grupy pod działaniem wyskoku przestają myśleć, nie są zdolne się wypowiedzieć, naradzić, a tylko pod wpływem namiętności — głodu alkoholowego zapominają o sprawach najważniejszych, skierowując całą swoją inteligencję na zaspokojenie tego głodu.

Jeżeli więc chcemy, aby narady nasze dawały wyniki dodatnie, musimy ze wszelkich zebrań stanowczo usunąć alkohol w każdej postaci, gdyż narada przy kieliszku jest zawodną.

Aleksander Iżycki.

DAMJAN BIEDNYJ.

A DLACZEGO?... NIEWIADOMO!

Płacze baba przed obrazem,
Zbite czoło, nos i wargi,
Mąż szaleje z samogonem,
Próżne na zabawę skargi...

Chuligaństwo — w mordę, w zęby,
Ten do turmy, ów do grobu —
Zrujnowane życia zręby...
A dlaczego?... Niewiadomo!

przełożył Jan Szymański.

Z A W Ó D.

— Gdzie się wybierasz znowu? — pyta córkę skrobiąca ziemniaki Pęczkowa.

— Prosiła Nastka, żeby obejrzeć u niej nowy warsztat, wczoraj przywieziony przez ojca. Dobrze włosy skręciłam, matusiu? — szczebiocze przymilnie, nie mogąc zobaczyć w małem lusterku całej, w baranie loczki pokarbowanej głowy.

— Już ty mnie Nastką nie zwódź i jej warsztatem! — wybucha stara, rzucając nóż w obierki. — Nastka ta — ma czarne wąsiki i w dziurawych portkach chodzi, a na tym warsztacie — uważaj tylko, abyś sobie pieluszek dla jakiego dzieciaka nie uprzędła! Onegdaj cię widziałam z Walkiem za stodołą — pewnie do niego lecisz! Rozpity chłopak, od kilkunastu już dziewuch kosza dostał, teraz na ciebie dybie... Że też chcesz takiego nicponia, niby ta śmieciarka, biorąca grat pogardzany!

Zośka krzywi drwiąco brzydką, dziobatą twarz.

— O, jaka matka wybredna, jakby w naszej chałupie od zalotników aż ciasno było! Proszę, dajcie mi królewicza, będzie chciał pewnie taką piękną dziedziczkę!

— Urodą ta nie grzeszysz — łaskawie przyznaje Pęczkowa, spojrzawszy na perkaty nos i maleńkie oczka córki — ale uczciwe imię i dziesięć morgów, jakie ci się dostaną — mają swoje znaczenie...

— Gadajcie, pomogły mi może skaptować sobie Franka! — Na trzydziesty mi idzie, starą panną nie będę! Niech się tylko Walek ze mną ożeni — dam mu radę!

Krępa, przysadzista postać na grubych nogach, obciągniętych zabawnie cieniutkiemi pończochami, każe wierzyć niezachwianie podobnej obietnicy....

— Dobrze, że się twój ojciec wstydu takiego nie doczekał!

— Ani chybi, ucieszy go w grobie matusi z jego śmierci radość...

— Już ty wiesz chyba, co chcę przez to powiedzieć! Żebyś miała tyle rozumu, ile słów w gębie na zawołanie! Jeszcze pożałujesz...

Dalsze przepowiednie ucina zatrzaśnięcie skrzypiących drzwi.

Dziewczyna, ledwo nie roztratowawszy śpiącego słodko na progu kota, przebiega podwórze, a potem idzie wąziutką ścieżką wśród wysokich traw upstrzonej kwiatami łąki. W oddali rzeczka, otoczona szeregami olch — przy starym, nawpół zbutwiałym mostku naznaczyli sobie spotkanie.

Ciągnie tam Zośkę nietylko wyrachowanie, jak to niedawno matce mówiła — kocha naprawdę tego przystojnego chłopca, więc oczy zamyka na jego wady i na wielką liczbę swych poprzedniczek. Tak — o tem musi zapomnieć, ale teraz do niej tylko należy — rywalki ona nie zniesie...

Stojąc już nad wodą, niespokojnie patrzy w stronę czworaków folwarcznych. Nareszcie zza węgła jednego z nich ukazuje się ciemna postać, idąc naprzełaj, przesadza niski mur okólnika, potem znika prawie wśród bujnie wyrosłego żyta. Za chwilę — mocne ramiona obejmują

dziewczynę, gorący pocałunek zabarwia rumieńcem dziobatą, zwykle szarą twarz.

— Czemu tak późno? — pyta Zośka, po zwolnieniu uścisku wracając do rzeczywistego świata

— Dopiero wróciłem od dziedzica, miałem ze starym przeprawę...

— Znowuś się upił?

— No, trochę zgadłaś — tak to nazwane zostało przez starego, ale przecie paru kieliszków zabronić mi nie może. Mówił: „Posadę stracisz, gdy jeszcze raz to się powtórzy..."

— Gdy się tylko upijesz?

— Eh, tak źle nie będzie! Nie wiesz, o co mu poszło: dzisiaj, jadąc z kościoła o mało nie wpakowałem bryczki z państwem pod samochód...

— Laboga! — otwiera w przerażeniu szerokie usta.

— Szofer psiajucha winien: poco trąbił, pędząc naprzeciwko? Jechałem jak należy — prawą stroną, a tak mi się pomyliło i w lewo skręciłem. Ledwie pan, lejce mi wyrwawszy, konie nawrócił...

— Dobrześ musiał wypić w miasteczku.

— Dobrze, niedobrze — a panu do tego wara: płaci osobno mi na wódkę? — no, nie mam racji?

Dziewczyna rzeczywiście uważa, że nie ma, ale tego nie mówi posiadaczowi ładnych oczu.

— Wiesz — zaczyna nieśmiało — wstrzymaj się lepiej od picia, gdy wyjeżdżasz z państwem: ordynarją i kilkudziesięciu złotemi, które bierzesz, gardzić nie trzeba.

Walek chmurnieje — już to kazań nie lubi, dla nich przecie omija starannie kościół...

— Jak razem na ziemi gospodarować będziem, na pana gwizdnę! Rozmawiałaś z matką? — dodaje niespokojnie.

— Tak, trochę jeszcze oporna, ale zgodzi się napewno — wszakże jestem u niej jedynaczką.

Chłopak miałby chęć dodać: „brzydką", ale miast złośliwej odpowiedzi, obejmuje ramieniem dziewczynę.

— Moja ty, miła — szepcze, całując Zośkę, a patrząc na widną wdali jej chałupę, otoczoną nowemi budynkami. Dużo już dziewcząt pieścił w swem życiu, ta może jest najbrzydsza, lecz wybierać nie można: ona, lub — Hania....

Zośka, jakby zgadując myśl chłopca, nagle go odpycha.

— Mówiła mi wczoraj Snopkowa, że cię widziała z Hanką Ziębów koło dworskiego sadu. Pamiętaj, że zdradzać się nie dam — nawet przed ślubem... Gdy raz jeszcze zachce ci się z nią rozmowy — możesz mi się na oczy nie pokazywać!

Chłopak wybucha złością:

— Głupia Snopkowa plotek narobiła! Mówiłem — albo to grzech, tylko o czem — baba nie wiedziała... Dziedzic mnie posłał do brata Hanki, bym go na dniówkę zamówił, a że dziewczynę przy sadzie spotkałem, więc jej dokumentnie wszystko musiałem wyłożyć...

— Długoście stali — dodaje Zośka.

— I to ci powiedziała stara czarownica? Ano, dziewczyna zaczęła mnie się radzić, co zrobić z prosiakami po zdechłej maciorze—tak i tro-

chę czasu zeszło. Gdzieby taka smarkula obchodzić kogo mogła! Ej, nie gniewaj się popróżnicy — jednaś ty dla mnie na świecie...

Słowa miłosne ujmują Zośkę swem ciepłem: nie wie biedna, że chłopak, mówiący je coraz to innym dziewczynom, wprawy nabrał, niby aktor na scenie, codziennie kochający się na nowo.

— Słuchaj, Waluś — mówi po chwili — przyjdź w następną niedzielę oświadczyć się o mnie matusi — moja w tem głowa, że zostaniesz przyjęty.

Spogląda na chłopca rozjaśnionemi oczyma, ale radosnej odpowiedzi jakoś nie słyszy.

— Cóżeś taki dziwny? — pyta patrzącego w zakłopotaniu w ziemię. Przyczyny tej „dziwności" powiedzieć jej Walek nie może...

— Bo to... widzisz... nie wiem, czy będę wolny... państwo mnie potrzebować po południu mogą.

— To przyjdź wcześniej — zdążysz przecie! — Tak mi to wygląda, jakbyś chęci nie miał! — dorzuca obrażonym głosem.

— Matki twej się boję — może się nie spodobam....

— Bajesz — przerywa zniecierpliwiona — do bitkiś i do wypitki pierwszy, a tu dzieciaka udawać zaczynasz!

— Boję się ciebie utracić, dziewczyno, moja ty miła...

Niezawodny sposób uspakajania zagniewanej—robi swoje: Zośka, zapomniawszy urazy, przytulona do chłopca, zaczyna mówić, jak to się urządzą po ślubie:

— Parobka oddalimy; gdy ty będziesz, podołamy robocie....

— Co, to ja w miejsce parobka nastanę? — pyta złośliwie Walek.

— Adyć się nie gniewaj: ty na swojem będzisz, a on płatny przecie!

Walek, mający chęć próżnować po rzuceniu zajęć fornalskich. wzrusza ramionami.

— Na to się nie.... zgodzę — chce dorzucić, ale obawa zrażenia dziewczyny każe ustąpić tymczasem. Już po ślubie swoje potrafi przeprowadzić....

— Co mówisz? — podchwytuje Zośka.

— Na to się żyje, aby pracować! — kończy zaczęte zdanie słowami, według niego idjotycznemi, gdzieś, kiedyś słyszanemi. Zośka, zbyt mądra, aby odezwanie chłopca brać na serjo, bojąc się zniechęcić go do małżeństwa — zaczyna ustępować:

— No, zobaczymy zresztą: może parobek przy zmniejszonej robocie da sobie obniżyć płacę...

— A właśnie, odrazu go odprawimy! — woła Walek, myśląc w duchu, podobnie jak Zośka — całkiem inaczej. Pogodzili się wkońcu...

— Wiesz — mówi dziewczyna — dzisiaj w domu Ludowym zabawa, wszystkie moje znajome idą. Tylko przez ciebie bywać tam przestałam . . .

— Nie żałuj — przerywa chłopak — same niedołęgi to bractwo S. M. P. Kółko jakieś trzeźwości założyli, pić i palić nie dadzą — pewnikiem dla nich będę sobie przyjemności odmawiał...

Nagle wiatr, dmący w stronę rzeczułki, przynosi dalekie wołanie z Pęczkowej zagrody.

— Matka mnie potrzebują, wracać już muszę. Gdzie mam czekać jutro? Że też coraz to inne miejsce naznaczasz! — dodaje gniewnie.

— Bom mądry, tak ludzie nie wyśledzą. Przyjdź do lasu, koło poręby, wiesz — za tym wielkim dębem z brzegu.

— Kiedy?

— Jak robotę skończę, po zachodzie słońca.

Jeszcze raz pocałowana, biegnie Zośka przez łąkę w stronę chałupy. Spogląda Walek złośliwie na dziewczynę, śmiesznie się gibocząca na za wysokich korkach pantofli.. Spluwa... Uf! niesmaczne mu te pieszczoty. Czego to przez rozum robić nie trzeba... Przypomina mu się choroba z dawnego dzieciństwa: po zjedzeniu zielonych jabłek obolały brzuszek, matka — stojąca nad krzyczącem dzieckiem, z ogromną łychą oleju w ręku. „No, synku — tylko bądź mądry!..." Akurat teraz to samo...

Kładzie się nawznak, z rękami pod głową i zaczyna kombinować. Żle jest — Zośka chce zrobić głośnem ukryte nibyto narzeczeństwo, a on waha się jeszcze na dwie strony. Niedołęga Hania... Dawno obiecała podpytać ojca, jaką od braci spłatę dostanie. Mówił dzieciakowi, że o jej, Hani, tylko mu przyszłość chodzi, żeby biedy z nim nie cierpiała. Zgodę na małżeństwo obiecuje dziewczyna uprosić... Będzie wiedział, co da Zięba — wybierze... Obie dziewuchy — jednako mu obojętne...

Myśląc, że złym jest porządek świata, dwuch chętnych bab razem człowiekowi wziąć niedający, usypia. Bezładne sny myśl mu wodzą po nieskończonych wertepach, do czegoś go zmuszają, on się broni, wreszcie — spostrzega nad sobą beczkę, której kurek pakują mu w usta... Chwilę przyjemnem jest łykanie płynu, nagle krztusi się, chce zakląć... wódka go dusi... rzuca rozpaczliwie głową — z chmury, nawisłej ciężko nad leżącym chłopcem, potoki deszczu leją prosto w otwarte usta... Zrywa się wściekły, pędem rusza do wsi — golnąć w szynku wódki na rozgrzewkę. Że prostszem byłoby zmienienie zmokłego ubrania — na myśl mu nie przychodzi.

Biegnąc długą drogą między rzędami przycupniętych w zapadających ciemnościach chałup, mija grupki młodzieży, dążące w przeciwnym kierunku. Do świetlicy, na zabawę ciągną — myśli chmurnie. Nagle — wpada na chłopców, wychodzących z jakichś wrót otwartych i — miast się cofnąć, uderza jednego z nich pięścią w piersi. Mocno chwycony żelaznemi rękami za dłonie, syknął z bólu. W jasnych oczach, w niego wpatrzonych, poznaje Walek spojrzenie śmiertelnego wroga.

— Puść, bo cię... psiakrew! — szarpnął się bezsilnie.

— Bo co? — trzymać mam prawo, w złościś szalony, a com ci zrobił, że idącego spokojnie napadasz?

— Dobrze prezes mówi, ale go puśćcie, już my ruszyć się nie pozwolimy — dorzucają towarzysze zwycięskiego chłopca.

— O, wy, świętoszki, obłudnicy, oni myślą, że tu panować będą— niedołęgi, bojące się kieliszka!

— Słuchaj mnie — mówi Antek Broniak, młody założyciel kółka „Trzeźwości". — słuchaj — złość masz do mnie, żem cię zaczepia-

jącego na zabawie po pijanemu dziewuchy, wyrzucić za drzwi kazał, ale tyś na uwagę sobie zwróconą, w twarz mnie uderzył... Słuchaj — jak bydlę się wtedy zachowałeś, jak z bydlęciem musieliśmy postąpić; ale zrozum, kogo niedołęgami nazywasz: tych, którzy mają siłę powstrzymać się przed ochotą do kieliszka?! Pić dla przyjemności — łatwo jest; wtedyś silny i pan nad sobą, gdy umiesz złym zachciankom powiedzieć: wara!

— Pójdź na księdza — wtedy kazanie gadaj; szukaj głupszych— ja nie taki! Przewodzić ci się chce tylko, dlatego głowę zawracasz! — warczy trzymany za ramiona chłopak.

— No, puśćcie go — mówi Broniak — jeszcze go życie nauczy, gdy słowa nie mogą — oby nie za póżno...

— Patrzcie go, apostoł, Judasz, idź lepiej murzynów nawracać... świętym zostaniesz! — wykrzykuje Walek w stronę znikających w mroku postaci. Wszedłszy do bliskiego już szynku, zaczyna w podnieceniu wymyślać na stowarzyszonych do kilku będących tam chłopców. Dawne to jego kamraty, którym w wielu bójkach i pijatykach wodzem bywał. Stopniało to kółko, stopniało... Niejeden do S. M. P. wstąpił, rozrywką miłą z szynku wyciągnięty... Pozostałe „resztki' zaczęły teraz do siebie przepijać za Walkowe pieniądze: hojnie stawia — niech znają pana!

— Albo te dziewuchy — żali się jeden — głupie to, nierozumiejące, że chłop prawdziwy pić musi...

— Ech, takie znów głupie nie są! — parska inny śmiechem. — Jak pijany mąż żonkę po ziemi za włosy raz pociągnie — odrazu kobieta wódkę znienawidzi. Przeczuwają złą dla siebie dolę.

— Na to masz kobietę, abyś ją prał... — rozstrzyga Walek.

— No, ty już używać nie będziesz — dogaduje Józek Mątwa— od ciebie wszyćkie, nikiej od zarazy uciekły!

— Stul gębę — ani się obejrzysz, jak bogatą żonę dostanę!

— O zakład?

— Zgoda! — woła Walek.

— Ile? — spojrzeli chłopcy po sobie. — Złożym się każdy po dziesięć — to pięćdziesiąt. Postawisz tyle?

— Czegoby nie? — mówi, uśmiechnięty lekceważąco.

— Ale w naszej wsi ożenić się musisz — zastrzega Mątwa.

— Pocobym dalej szukał — ino tu ręką sięgnę...

— No, no! — chichoczą, nieprzejęci wcale strachem przegranej.

— Deszcz ustał, chodź z nami muzyki przed świetlicą posłuchać — okna otwarte, a pięknie grać umieją...

— Nie dziad jestem, abym przed czyimś domem wystawał, tutaj siedzieć wolę — ambit swój mam! Idźta same — głupie!

— Jak ludzi uszanować nie umiesz — prosić cię nie będziem! — odpowiadają obrażeni „ludzie", taczający się w stronę drzwi wejściowych...

— Mam was... eh! — splunął smętnie, zrobiło mu się jakoś nijako. Zajrzał do kieszeni, trochę jeszcze złotych zostało — zaczął pić na nowo... Pił tak długo, chcąc zabić złość do bawiącej się teraz wesoło bez niego młodzieży, żal do zdradzających przyjaźń zabijaków, a co

najgorsza — przykrą dziwnie myśl, że sam, trwając w złem naprzekór wszystkim, nikogo za sobą pociągnąć nie zdoła...

Ostatnie grosze na ladę rzuca. Myśli z wściekłością o Hani, wesoło teraz w świetlicy tańcującej. Trzeba pójść gdzieś koło jej chałupy na dziewuchę poczekać, o wypytanie starych przynaglić. Wstaje ciężko, dobrnął do progu, owiało go świeże, pachnące niedawnym deszczem powietrze. Zaczął iść powoli, trzymając się zbawczych płotów...

A Hania, choć na zabawie, o Walku swoim pamięta.

— Kochasz się, czy co? — pytają druchny zamyśloną.

— Ot, zmęczonam trochę — słabowita jestem, a tańczyłam dużo.

— Pewnie, na siłaczkę nie wyglądasz, chucherko takie, ale zatoś rodzicom oczkiem w głowie — niczego ci nie odmawiają...

— Gdybyż tak było! — wzdycha, myśląc o upragnionym chłopcu. Ma lat siedemnaście, rozmarzoną czytaniem ulubionych książek główkę i dużo, dużo wiary w możność poprawy niedobrych ludzi. A co dopiero mówić o tym, którego pokochało pierwszem uczuciem naiwne serduszko!

Idzie teraz do domu z przepełnioną słodkiemi myślami głową. Sceny i postacie z pochłanianego niedawno „Quo Vadis" plączą jej się z obecnem położeniem. Winicjusz i Ligja — zupełnie, jak ona i czarnooki Walek. Że nowoczesny Winicjusz, zamiast wieńca różanego na głowie, często nosi okruchy słomy w zmierzwionych włosach, a Ligja nieraz krowy doi — co to szkodzi — miłość zawsze jednaka... Jeżeli tamta poganina nawrócić mogła — jakżeby to jej udać się nie miało: chrzczony człowiek nawet mniej zatwardziały być powinien...

Rozmyślając tak pogodnie, obchodzi już rodzicielskie zabudowania. Nagle spostrzega przytuloną do płotu ciemną postać. „Hanuś!" — szept ochrypły — poznaje Walka... Pijany — stwierdza to z pewną odrazą, jednak odważnie, jak na dzielną Ligję przystało, zbliża się do chłopca. Ten chwyta ją za rękę, twarz jej owiewa duszący zapach wódki... Ligja na uczcie u Nerona — myśl przebiega — Winicjusz całować zechce... Z całem poświęceniem gotowa jest naśladować w tej ciężkiej chwili swą poprzedniczkę...

— Hanuś — bełkocze Walek, nie rwący się jakoś do pieszczot— pytałaś ojca? Dziewucho, zginę wkońcu, czekając tak długo!

Hance ta obietnica mocna pochlebia, ale zarazem dziwi ją niecierpliwość chłopaka: w powieści staranie o ukochaną — parę tomów przecież zajmuje...

— Czekaj... — zaczyna.

— Tatka latka! — wybucha rozzłoszczony, wychodząc po pijanemu z roli.

— Jak możesz... — cofa się urażona do żywego.

— Czekaj i czekaj... Nie pamiętasz, com mówił: mało dostaniesz— na zgubę w nędzy narażać cię nie będę! — powtarza machinalnie dobrze już zapamiętane słowa.

— Nie martw się — mówi, wzruszona troską o los swój, Hania.— Siostra tatusia niedługo do nas przyjadą. Chrzestną są dla mnie, poproszę — ojca wypyta nibyto od siebie, z ciekawości o moje wiano. Mnie jakoś nijako tatusia badać... Dobrze? Zadowolonyś? — głos przy-

milny daje pijanemu chłopcu złudzenie niedawnej sceny miłosnej i mówione wtedy przez niego słowa odruchowo z ust się wyrywają:

— Moja ty miła, jednaś ty dla mnie na świecie...

Gdybyż na tem zakończył czułości... niestety! — po objęciu ramieniem niezbyt opornej zresztą Hanki, zamglony mózg każe w ciemniejszej przy sobie postaci widzieć — Zośkę, której przez grzeczność należy przypomnieć o schadzce.

— Pamiętaj — bełkocze — jutro... poręba wieczorem.... za wielkim dębem...

— Co mówisz? Nic nie rozumiem — pyta naiwnie: spotkań ze sobą nigdy nie obmyślali. I nagle — dziwna myśl przychodzi jej do głowy. „Czyżby?"— potrząsa go za ramię. Chłopak, trochę trzeźwiejąc, spostrzega, że zamiast obfitych kształtów dziobatej Zośki, przytula do siebie chude jakieś kosteczki....

— Co chcesz? co mówiłem? Odczep się! — puszcza nagle dziewczynę. Lecz ta, tknięta podejrzeniem, zdumiewającem nawet w niemądrej główce, prosi o wytłumaczenie słów zagadkowych. On, pijany, nie zdając sobie zupełnie sprawy z ich powiedzenia — zaczyna posądzać Hanusię o podstępne badanie.

— Mojaś ty, jedyna, najmilsza moja! — chwyta się znowu niezawodnego środka...

Nagle, pies Ziębów podbiega do rozmawiających i, nie podzielając wcale uczuć miłosnych córki swych właścicieli do dziwnie pachnącego człowieka, zaczyna szczekać przeraźliwie. Ktoś wychodzi przed dom, w celu zobaczenia przyczyny hałasu. — Hanka, zostawiwszy chłopca, przemyka się w cieniu sztachet do niedalekiej furtki...

Biedna Ligja... Tłumiąc łkania w puszystych głębiach poduszek, targana pierwszą w życiu zazdrością, leży bezsennie długie godziny. Czasem, myśli pocieszające każą uważać zagadkowe słowa za zwykły, nieprzytomny bełkot pijanego... Lecz za chwilę — znowu zwątpienie ją ogarnia... Dopiero nad ranem, postanowiwszy własnemi oczyma rozstrzygnąć dręczącą zagadkę, zasypia spłakana mocnym snem dziecka...

Chowa się słońce za niedalekie, ciemne pasmo lasu. Ku cicho stojącym drzewom idzie Walek, klnąc w duchu nadobowiązkowe godziny zajęć. Bodaj raz zakończyć te szopki! Trzeźwy jest dzisiaj — ledwo przecież zdążył połknąć barszcz z ziemniakami, do szynku wstąpić nawet nie było czasu... Przechodzi polanę, zarzuconą pokracznemi korzeniami wykarczowanych pniaków. Kładzie się pod umówionym dębem i, patrząc w górę na sklepienie żółtawych już liści, zapada w bezmyślne odrętwienie...

Nagle jakiś szelest w nisko rozgałęzionych leszczynach zwraca jego uwagę... „Eh, to pewnie tylko szukające noclegu ptaki! — Strachliwy być zaczynam. Ciągłe ukrywanie przed ludźmi schadzek z Zośką— swoje zrobiło...." W tem, słyszy w krzakach gwałtowne kichnięcie. Zrywa się z ziemi — to już wcale na ptasie odgłosy nie wygląda! Biegnie do leszczyn, ktoś zaczyna uciekać.... W kilku skokach łapie przemykającą się w gąszczu postać. Przytrzymana za sukienkę Hania wybucha płaczem...

— Co tu robisz, dziewucho?! Skurczona rozpaczą twarzyczka, po-

ciągający żałośnie nosek, łzy biegnące strugami z zapuchniętych oczu — tknęły go jakiemś niedobrem przeczuciem...

— Co robię? — wybucha Hanka — ciebie o to zapytać powinnam, ty wstrętny.... obłudny.... Jak mogłeś mnie oszukiwać — tak ci wierzyłam!

Zarzut jest słuszny, ale dziewczyna nie ma przecież w ręku żadnego dowodu — myśli chłopak.

— Czekasz tu na inną... — łka Hanusia — wczoraj... to powiedziałeś... niechcący!

Psiakrew! — teraz wszystko pojmuje — jakieś niejasne wspomnienia ostatniej z Hanką rozmowy stają się zrozumiałe dla niego. Wydał się po pijanemu... Masz babo kaftan! A tu w każdej chwili Zośka nadejść może... Nagle — świetna myśl przychodzi mu do głowy... Dzieciak naiwny, pewnie się uda... spróbuję... Grunt zbadać, czy imienia drugiej dziewuchy smarkuli nie powiedział...

— Słuchaj, Hanuś — usiłuje zajrzeć jej w oczy — słuchaj, ciebie to prosiłem o przyjście dziś tutaj....

Hanka się nie odzywa — o Zośce widać nie wspominał. Dobra moja! — myśl przebiega, głos chłopca zaczyna drżeć namiętnością.

— Hanuś, prosiłem ciebie o schadzkę, w chwilę potem przeląkłem się zuchwalstwa własnego, obrazić cię nie chciałem...

— Pijany byłeś, nie rozumiałeś o com pytała — przerywa Hania.

— Trochę ta łyknąłem, z żałości za tobą, dziewczyno, a upitego całkiem udawałem, abyś mi za złe zamówienia do lasu nie wzięła — przyciąga spłakaną, a patrzy z przerażeniem w stronę, skąd może nadejść Zośka.

— Nie kłamiesz tylko? — przestaje łkać Hanusia. Jakże jej słodkiemi słowa Walkowe... — A poco tutaj jesteś? — nowe zwątpienie odpycha ją od niego.

Bierze go wściekłość... raz ją stąd wyprawić....

— Słuchaj! — mówi rwącym się ze złości głosem — przyszłem, tu leżąc, myśleć o tobie, że nadejdziesz może... I tak się stało! — dodaje radośnie, z rozpaczą już w duszy. — Ale, dziewczyno, na obmowę narażać cię nie będę, wracaj do domu czemprędzej, ja tu zostanę, później pójdę, by nas ludzie razem nie widzieli...

Jaki on delikatny — myśli Hanka — a ja go podejrzewałam! Ogarnia ją ogromne zawstydzenie...

— Waluś, nie gniewasz się na mnie? — pyta skruszona.

— Ja? —na ciebie? — mówi wściekły, słodko patrząc jej w oczy. — Idź tylko prędko, najmilsza, jeszcze kto cię zobaczy! — całuje mokre, gorące jej policzki, za chwilę dziewczyna znika w krzakach.

Uf, a tom użył, idjotka! Ale się udało — myśli z zadowoleniem — dobrzem ją nabrał — z Zośką byłoby gorzej... Nagle straszny, niedaleki wrzask przeszywa go dreszczem. „Biją kogoś"; — odruchowo chce biec z pomocą... wtem — nogi wrastają mu w ziemię... W bezradnym krzyku, niby płaczu żałosnym katowanego dziecka, poznaje — głos Hani. I drugi, chrapliwy, wyrzucający z pasją urywane słowa: — „Masz chłopa... sama chciałaś... żadnej mieć nie będzie... oszukał cię, głupia... zapamiętasz nauczkę!"

Walek, zamiast ratować Hanusię, nieprzytomny z gniewu po stracie nadziei obydwuch ożenków — rzuca się w przeciwną stronę lasu. „Ma Hanka za swoje — poco tu przyłaziła, zepsuła wszystko"! Wie dobrze Walek, że występująca w roli oprawcy Zośka, ani jej biedna ofiara — nigdy mu nie przebaczą... Wywczasy na zamożnem gospodarstwie — djabli wzięli!

Nie słyszy już krzyku — widocznie ma Pęczkówna zemsty dosyć... Walek zawraca ostrożnie ku wsi, w szynku zapić doznane niepowodzenie. „Do licha!" — przypomniał sobie o zakładzie. Drwiące śmiechy koleżków znieść będzie musiał... Pieniędzy nie obejrzą — do sądu o to nie pójdą przecież, wielce jednak ucierpi „honor" Walkowy. „Przeklęta wódka — wszystko mi popsuła!" — mruczy, otwierając już drzwi błyskającego światełkiem sklepiku....

Roma Luxówna.

POPIELISKO.

Powieść

(Ciąg dalszy)

— Mówiłaś mi kiedyś o tem, lecz nigdy nie słyszałam szczegółów — rzekła Anka.

— Przyjedzie Andrzej, to ci sam opowie. Nie masz pojęcia, jak on kocha swego przyjaciela; jedną z jego namiętności — to wychwalanie go pod niebiosa.

W owo beztroskie życie, jakie pędzono w Zakopanem, wkradały się czasem i chmury: Marta nie mogła się doczekać przyjazdu Andrzeja, Anka zaś niepokoiła się brakiem wiadomości z domu. Jeszcze nigdy nie były one tak skąpe i tak niepokojące swoją lakonicznością.

Pewnego wreszcie dnia przyszła depesza od Andrzeja, w której donosił, że przyjeżdża ze swoim przyjacielem. Już sama wiadomość zmieniła jednostajny tryb życia. Posypały się projekty wycieczek i zabaw. Nawet stary pan Duchnowski wybierał się jechać ze wszystkimi na Chochołowską polanę.

— Zobaczycie — mówił — jak tam pięknie; niech się schowają wasze dotychczasowe wyprawy!

— Ależ, tatusiu — mitygowała Marta — przecież przyjechałeś na wypoczynek, a nie poto, żeby o świcie wyruszać na wycieczki.

— Widzisz ją, smarkata, jak mi to wymawia starość. Chciałabyś się pozbyć mego towarzystwa, żebym ci nie przeszkadzał flirtować!

Owe codzienne zresztą drobne utarczki kończyły się zawsze pokojowo, gdyż pan Duchnowski ponad wszystko kochał swą jedynaczkę i przepadał za przyszłym zięciem.

— Mateczko — mawiał do żony Andrzej — to zuch chłopak. Starszy przecież znacznie od tego cudaka, Marty, a tyle w nim radości i dziecięcej pogody.

Andrzej rzeczywiście zdawał się przyżywać okres swej najbujniejszej młodości. Brał życie, jak zwykle, od strony zjawisk, nie sta-

rał się analizować, ani mędrkować. Uważał, że Martę los zesłał mu poto, aby wraz z nią mógł głębiej przeżyć całą skalę ciekawych wzruszeń, by intensywniej radować się tem wszystkiem, co życie ześle. Żadnych trosk i zmartwień poprostu nie brał pod rachubę, twierdząc, że wtedy przychodzą, gdy się o nich myśli.

Z pewnych egoistycznych pobudek starał się usilnie, aby Marcie było z nim dobrze. Zapewniało mu to jej uśmiech i zadowolenie, — dwa źródła niewyczerpanej radości.

Dzięki temu nietrudno mu było zawojować serca rodziców. Zato Marta wstrzemięźliwa w okazywaniu uczuć, dręczyła go nieraz pozorną obojętnością. Wdzięczny za każdy pocałunek, oczarowany uśmiechem, szedł zawsze tą drogą, którą go wiodła. Na szczęście nie wyzyskiwała nigdy sytuacji, jeśli chodziło o sprawy poważniejszej wagi.

Obydwaj panowie zrobili miłą niespodziankę, i przyjechali o całą dobę wcześniej, niż byli spodziewani. W domu byli tylko państwo Duchnowscy, gdyż młode panie poszły na pocztę.

— Jestem trochę niespokojna, co tam z Włodkiem słychać — mówiła Anka. Może chory. Właściwie powinnam już wracać do Warszawy.

Niebardzo zresztą sama wierzyła w ową chorobę, ale za nic w świecie nie byłaby się przyznała, że nie ufa człowiekowi, z którym żyje.

— Co też ty mówisz! — tłumaczyła Marta. — Teraz dopiero będzie wesoło. Gdy wyślesz list polecony, za parę dni napewno nadejdzie odpowiedź.

Nie zaoponowała, gdyż właściwie nie miała ochoty wyjeżdżać. Miłość, jaką wszyscy siebie wzajem darzyli, dawała poczucie pewności i spokoju. A przytem Anka poraz pierwszy miała iść w góry, co było nielada przyjemnością.

Spacerowały dość długo, aż doczekały się zmierzchu. Teraz szły spiesznie do domu, by się nie spóźnić na kolację. W pewnym momencie Marta zatrzymała się zdziwiona, ujrzawszy przed sobą Andrzeja.

— Skądżeś się wziął tutaj! — zawołała.

— Przyjechaliśmy wcześniej, gdyż nie mogłem doczekać się chwili, kiedy będziemy razem! Zostawiłem Witolda w domu, a sam wyszedłem naprzeciw. Miło mi panią poznać — zwrócił się do Anki.— Wiem, jak moja pani kocha ją z całego serca i, pomimo że jestem nieraz zazdrosny, pragnę być zaliczony w poczet jej przyjaciół.

— Właściwie znamy się już oddawna. Tyle mi Marta mówiła o panu.

— Ma pani słuszność. Nietylko my wiemy o sobie wiele. Nawet mój przyjaciel, którego poraz pierwszy przywiozłem, zna z opowiadania wszystkich domowników. Muszę nadmienić, że specjalnie zainteresował się panią.

— O, to bardzo ryzykowne wnioskować o człowieku, znanym tylko z opowiadania kogoś, kto go nie widział na oczy, — roześmiała się Anka. Jak się pana przyjaciel nazywa?

— Witold Narzymski, proszę pani, mój zbawca, a przytem bardzo wartościowy człowiek.

— Oryginalne, proszę sobie wyobrazić, że kiedyś korespondowałam z panem Witoldem Narzymskim z Różewa. Pamiętasz, Marto, jak przed laty byłam na Wołyniu u stryja, a tyś przysłała mi „pogotowie ratunkowe?"

— Coś sobie, jak przez mgłę, przypominam.

— No, to ten sam! — zawołał Andrzej. — Teraz przecież wracamy obydwaj z Różewa, gdzie po niego wstąpiłem.

— Dużo wspomnień łączy się z moim tam pobytem. Ów pan Narzymski był przyjacielem stryja. Mam w domu fotografję staruszka i bardzo ją lubię; zupełnie podobny do Ibsena.

— O ile sobie przypominam, to Ibsen miał brodę. Pani myśli zapewne o ojcu Witolda, który od dawna nie żyje. Witold jest młodszy ode mnie.

— Być może, że to był ojciec. Dawno już przerwał się mój kontakt z tamtemi stronami. Nawet dokładnie nie wiem, co się dzieje z moim stryjem. Jedno mnie tylko zastanawia: oto nigdy nic nie słyszałem, że pan Narzymski ma syna. Zainteresował mnie pan nie na żarty.

Gdy potem siedzieli wszyscy przy stole, Witold, mając obok siebie Ankę, przeżywał dziwne uczucia, że lata cofnęły się wstecz. Miał wrażenie, iż nie zmieniła się wiele. Chwilami brała go chętka, aby wyjąć jej dawną fotografję, jaką miał przy sobie w portfelu i porównać.

Ona zasypywała go szeregiem pytań. Zaroiło się we wspomnieniach, odżywało niejedno w pamięci.

Ile razy wracam myślą do Różewa, — mówiła — to zawsze w pierwszej chwili staje mi przed oczami trawnik, pokryty dywanem opadłych różanych płatków. Czy owe piękne róże ocalały?

— Niestety — proszę pani — tamtych już niema. Jeśli jednak zostały w pamięci, tem samem nie zginęły bez śladu.

Interesowało ją, co dzieje się ze stryjem i jego żoną, własne wspomnienia przeplatała pytaniami, przeskakując z jednego tematu na drugi.

Witold mówił niewiele. Gdzieś głęboko w sercu, pod grubą warstwą różnorodnych wrażeń i uczuć, zasypane pyłem szarych codziennych dni, które splatały się w lata, tleć poczynało zarzewie; rozżarzył się nikły zrazu płomyk i dawał znać o sobie.

— To dziwne, — rzekła Anka, — nigdy nie słyszałam o panu, choć tyle wiem o ojcu. Wprawdzie niedługo byłam w okolicach Różewa, mimo to jednak wszystko doskonale utkwiło mi w pamięci. Nie spodziewa się pan napewno tego, co mu teraz powiem: proszę sobie oto wyobrazić, że kiedyś dawno miałem objąć posadę w pańskim majątku i zamieszkać z ojcem pana pod wspólnym dachem. Drobny wypadek zdarzył, iż projekt nie doszedł do skutku. Bylibyśmy się już wtedy napewno spotkali. Wielką sympatją darzyłam starszego pana Narzymskiego. Nie zapomnę nigdy, jak serdecznie zapraszał mnie do Różewa, gdy wybuchła wojna.

— Nie obce mi jest to wszystko. Wiem nawet, że ów „drobny wypadek", który ówczesne plany pokrzyżował, było to pani później-

sze zamążpójście. Tak radbym wiedzieć, czy właściwie dla niej gorzej, czy lepiej, że tamto nie doszło do skutku... Długich lat trzeba, aby się przekonać...

Anka zamyśliła się. Zapytana wprost, czy jest szczęśliwa, napewno odpowiedziałaby twierdząco; być może, że nawet sama w to wierzyła.

— Najpraktyczniej cieszyć się tem, co nam dane. Gdy zaczniemy się zastanawiać, od jakich czasami drobnych zdarzeń zależy bieg życia, musimy ukorzyć się w przekonaniu, że drobnem jesteśmy istnieniem. Proszę sobie wyobrazić, iż o moim wtedy wyjeździe do Warszawy zdecydowała doprawdy błahostka, a nie żadne poważne projekty. Pamiętam, jak bardzo chciałam zostać wRóżewie. Widzę, że pana to interesuje; którego dnia opowiem mu szczegóły.

Witold rzeczywiście słuchał z wielkiem zaciekawieniem. Mimo długiej podróży, nie czuł zmęczenia i z przykrością wstał od stołu, kiedy wszyscy zaczęli się żegnać. Kiedy potem znaleźli się obaj w swym pokoju, Andrzej dawno już zasnął, gdy Witold tonął we wspomnieniach. Wiązały się w długi łańcuch własne uczucia i tęsknoty. Do tej pory był pewien, że Anka, kochając swego przyszłego męża, sama usilnie się starała, aby powrócić do Warszawy. Dzisiaj z jej ust usłyszał, iż chciała przyjechać do Różewa. W ciągu całego wieczoru cisnęło mu się na usta pytanie, czy jest obecnie szczęśliwa. Z drugiej strony, wspominając Różewo, myślała stale o ojcu, nie o nim. Wiedział, że w pierwszej chwili wyprowadzać ją z błędu jest zgoła niebezpiecznie, gdyż byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do kłamstwa. Pamiętał, jak celowo wysłał fotografję ojca, zamiast własnej, nie chcąc przez to utracić listownego z nią kontaktu.

— Zresztą — powiedział głośno — na coby się to wszystko teraz zdało.

Andrzej obudził się:

— Cóż to, jeszcze nie śpisz?

— Tyle nowych wrażeń dziś przeżyłem, tyle obudziłem starych.. Powiedz mi jedno, czy pani Anna ma dobrego męża? Niech cię moje pytanie nie dziwi, ale znałem ją kiedyś, jako młodą panienkę, a jej stryja z mym ojcem łączyła głęboka przyjaźń. — Nie znam go osobiście, ale nie słyszałem o nim nic złego. Zdaje się, że są szczęśliwi.

Przez chwilę czekał napróżno na nowe pytanie. Witold milczał, nie mogąc samego siebie zrozumieć, ani wytłumaczyć smutku, jaki go ogarniał. Był niezadowolony, że dał się namówić na przyjazd do Zakopanego. Wyczuł już, że o wiele trudniej będzie teraz powrócić do domu, aby zaszyć się w pustce i osamotnieniu.

Następne jednak dni rozwiały przykry nastrój i Witold wraz z innymi bawił się doskonale. Nikt nie miał poprostu czasu na zmartwienia. Inicjatorem wszystkich wypraw był Andrzej; cieszył się przytem, jak dziecko, że Marta łaskawie aprobuje jego pomysły. Poraz pierwszy przytem widział Witolda w podobnie wesołym nastroju. Chwilami nie poznawał go.

— Widzisz słoniu, — mówił — tak się droczyłeś i wzbraniałeś, aby tu nie przyjeżdżać; a czy ci tutaj nie dobrze?

Tak, było mu naprawdę dobrze. Przebywał ciągle z Anką. Opowiedzieli sobie wzajem całą masę szczegółów z dawnej przeszłości. Nie poruszali jednak najlżejszem słowem tego, co jedno i drugie obchodziło najbardziej; ona unikała rozmowy o swym mężu, on zaś krył głęboko dawne ku niej uczucia, które powoli odżywały w nim, mimo chęci i woli. Wiedział, że niosą mu nowe udręki; lecz próżno się bronił. Przeszłość, jak żywa, wyłaniała się z mroków, oplatając go misterną tkanką niepokojów i uśmiechów, smutku i radości.

Na razie nie było czasu na niekonkretne zmartwienia; to też Anka czasem tylko myślała, o tem, czemu Włodek nie pisze.

Pewnego jednak dnia przyszedł dziwny list. Zanim się dostał do jej rąk, był tematem długich zastanowień ze strony pani Duchnowskiej; wahała się chwilę, czy to Włodek mógł adresować. Wprawdzie charakter pisma był nieco podobny, lecz wyglądał raczej, jakby ktoś nieudolnie usiłował go naśladować. W prawdziwe zdumienie wprawiało ją panieńskie jej nazwisko, jakie widniało na kopercie. Rozerwała szybko kopertę, a przebiegnąwszy oczami treść kartki, usiadła, aby odczytać na nowo.

— Co to może znaczyć — powiedziała półgłosem — nie zdając sobie sprawy, że jest sama w pokoju.

Kartka robiła wrażenie, iż pisał ją szaleniec: pourywane w połowie wyrazy, poskręcane dziwacznie litery, miejscami nieczytelne gzygzaki. Usiłowała doszukać się treści, gdyż list był bezwątpienia od Włodka; wyczytać jednak można było zaledwie jedno, że piszący jest gdzieś, skąd wrócić nie może natychmiast, lecz dopiero o drugiej w nocy. Ktoś inny wyraz „drugiej" przekreślił i napisał ołówkiem: „a może wcale", stawiając na końcu znak zapytania, który napisany widocznie również niepewną ręką, rozpostarł się na całej kartce.

Anka w pierwszej chwili przeraziła się tak dalece, że powzięła zamiar natychmiastowego powrotu do domu. Głowiła się tylko, jak to upozorować. Zastanowiwszy się jednak, doszła do wniosku, że gdyby był chory aż do utraty przytomności, mógłby podobny list napisać, lecz jakże zdołałby go wysłać. Należało raczej przypuszczać, że to echa niepojętej pijackiej zabawy.

— Co się tam dzieje — myślała z goryczą.

Rozsądek doradzał odłożenie wyjazdu do jutra. W ten sposób łatwiej będzie uratować sytuację.

Mimo, iż panowała nad sobą, jej niepokój i smutek widoczny był dla wszystkich. Powiedziawszy obu paniom, że otrzymała niepomyślne wiadomości z domu, nie wspomniała narazie o wyjeździe. Bała się poprostu, aby rozmowa na ten temat nie przeciągnęła się zbytnio; nie darowałaby sobie nigdy łez w wypadku, gdyby ich nie umiała pohamować.

Witold odrazu dostrzegł w niej zmianę, lecz nie wiedząc o liście, próżno usiłował odgadnąć przyczynę.

Nazajutrz wybierano się na wycieczkę do Krynicy. Anka miała zamiar zostać pod pierwszym lepszym pozorem, by łatwiej swój plan przeprowadzić. Liczyła na to, że starsi państwo Duchnowscy, którzy

zostaną w domu, — nie czytając nawet listu i nie pytając o szczegóły, zrozumieją jej postanowienie i nie będą czynić sprzeciwów.

Rano jednak niespodziewany przyjazd Włodka pokrzyżował plany. Zanim zaczęto wybierać się w drogę, służąca oddała Ance list, oznajmiając, że jakiś pan czeka w ogrodzie. „Przyjechałem na jedną zaledwie dobę; czy możnaby zobaczyć się z tobą bez świadków"? — pisał. Zaskoczona i przygotowana na nowe przykrości, wyszła do ogrodu i przywitała go bez zapału.

Jakto, nie cieszysz się? — powiedział z wymówką, pokrywając twarz bladym uśmiechem; odbyłem tylogodzinną podróż, aby ciebie zobaczyć. Myślę, że nie odmówisz mi swego towarzystwa, tembardziej, iż mam czas tylko do jutra do południa.

— Ależ, naturalnie. Poznasz całą rodzinę państwa Duchnowskich; zobaczysz, jacy są mili i serdeczni.

— Wiesz, jak nie lubię nowych ludzi. Chciałbym te kilkanaście godzin spędzić wyłącznie z tobą.

— Przecież to niemożliwe, abyś będąc w Zakopanem, nie wstąpił do domu moich przyjaciół, u których ja znalazłem tak gościnne przyjęcie.

— Mogą nie wiedzieć, że przyjechałem.

— Jakto? Cóżby sobie o mnie pomyśleli, gdybym zniknęła na całą dobę, nie podając ważnej i słusznej przyczyny. Chodź teraz, póki jeszcze nie wszyscy wstali; postaram się w miarę możności załatwić tak, jak sobie życzysz, chociaż myślę, że cały ten projekt niema wielkiego sensu.

Zostawiwszy Włodka na werandzie, która zastępowała stołowy pokój, pobiegła po Martę. Przez drogę wysilała swą całą inteligencję, co powie, aby nie dać pola do niepotrzebnych domysłów. Niemało trudu sprawiała jej konieczność drobnych kłamstw, którym zasadniczo zawsze była przeciwna.

Marta z uciechą powitała Włodka:

— Nareszcie Anka przestanie się o pana niepokoić — rzekła, gdy on, niepewny, czy o nim nie wie zbyt wiele, pragnął jak najprędzej wycofać się z pod gościnnego dachu.

— Mamy zamiar pojechać we dwoje do Poronina, — rzekła Anka. — Włodek chciał odwiedzić znajomych, a potem zanocujemy w hotelu. Wrócę jutro rano, gdy on tymczasem wyjedzie do Warszawy.

— Pan na tak krótko? Ależ mamie będzie napewno przykro, jeśli pan nie zatrzyma się u nas. Mój narzeczony bardzo pragnął pana poznać; napewno oboje nie będziecie się z nami nudzić.

— Niestety, proszę pani, i mnie bardzo przykro, ale doprawdy nie będę mógł tym razem skorzystać z gościnności...

Anka w pierwszej chwili miała nadzieję, że uda się go przekonać, aby pozostał. Spostrzegłszy jednak bezsilność wszelkiej namowy, sama pragnęła zakończyć co prędzej, obawiając się, że lada chwila wszyscy zejdą do jadalni.

— Zapomniałaś, że jedziesz dzisiaj do Krynicy — rzekła.

— Wycieczkę można przecież odłożyć na którykolwiek dzień następny.

Niewiadomo, jak długo jeszcze trwałaby podobna rozmowa, gdyby nie to, że Marta, spojrzawszy na Ankę, przestała się upierać, widząc bezradność, jaka się malowała na twarzy przyjaciółki.

Gdy wreszcie wydostali się na ulicę, Anka odetchnęła z ulgą, uświadamiając sobie jednocześnie ze smutkiem, jak bardzo jej mąż różni się od Andrzeja. Tamten starał się zawsze usuwać najdrobniejsze trudności, gdy ten tymczasem stale je piętrzył. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna była zostać raczej u państwa Duchnowskich, nawet wbrew woli Włodka, tembardziej, że szedł teraz koło niej bez humoru i ze zmarszczonem czołem. Weszli do Trzaski na śniadanie.

— Jeśli ci wszystko jedno, gdzie dzisiaj dzień spędzisz — rzekła Anka — to może lepiej byłoby naprawdę pojechać do Poronina. Gdy cały dzień będziemy spacerować po mieście, jeszcze nas kto spotka. Nie znoszę kłamstw i bardzo mi przykro, że byłam do nich poniekąd zmuszona.

— Zbyteczne skrupuły. Posiedzimy trochę tutaj, przejdziemy się w stronę Kościeliskiej, a potem pójdziemy do Karpowicza na obiad. Chciałem swobodnie z tobą porozmawiać.

— Powiedz mi więc, co znaczył twój ostatni list?

— Przyjechałem głównie dlatego, aby go uprzedzić. Żałuję, że mi się to nie udało, — rzekł pokornie, spuściwszy oczy. — Bałem się, iż wyobrazisz sobie coś nadzwyczajnego, a to tymczasem żart, oczywiście niesmaczny. Czy czytał go ktoś więcej, prócz ciebie?

— Ależ nikt, wzbudził jednak zdziwienie, ze względu na oryginalny adres.

Mówiąc to, wyjęła kopertę z torebki i położyła przed nim na stole. Widziała, jak łuna idzie mu przez twarz. Sprawiło to, że poraz pierwszy dzisiaj spojrzała na niego życzliwie. Był to drobny powód, że nie zatracił zdolności krytykowania własnych czynów.

Drżącą ręką wyjął kartkę z koperty. Usiłowała na niego nie patrzeć, nie chcąc mu przysparzać przykrości, widziała jednak, że zagryzł mocno wargi.

— Daruj mi, — powiedział porywczo. — Obchodziliśmy imieniny naszego buchaltera. A jednak do jakiego zbydlęcenia dochodzi człowiek pod wpływem alkoholu! Zupełnie nie pamiętałem potem, kiedy ten list pisałem i w jaki sposób dostał się do skrzynki. Na drugi dzień dopiero jeden z kolegów powiedział mi o tem...

Nie dodał jej naturalnie szczegółów, że był to główny doradca, który nazajutrz wyśmiewał się głośno, wyobrażając sobie minę tej, która podobny list otrzyma.

— ...Postanowiłem natychmiast przyjechać, aby cię uspokoić. Mam jedną więcej nauczkę, że nie powinienem pić. Czy nie gniewasz się na mnie?

Było jej przykro na myśl, że ten, którego kochała, narażał siebie i ją na pośmiewisko, lecz zdobyła się na uśmiech.

— Niepociągających, widzę, masz kolegów. Byłam rzeczywiście niespokojna i dziś wyjechałabym stąd do Warszawy. Jakże twoje zdrowie?

— Czuję się dobrze — odrzekł — lecz zanim słowa przeszły mu przez gardło przesunęła się w pamięci twarz lekarza, który mówił: „lecz proszę uważać, nie wszystko jeszcze może być w porządku". Momentalnie jednak zgłuszył niemiłe skrupuły, stawiając niewidzialną zaporę między chwilą obecną, a upokarzającemi wspomnieniami. Gdy po chwili spytała go, jak jest teraz w domu, kiedy jej tam niema, — porozrzucane po kątach rolki tapety i cały bezład opuszczonego gospodarstwa wydał mu się tak komicznym kontrastem między rzeczywistością, a jej wyobrażeniem, że roześmiał się nieco sztucznie.

Ponieważ deszcz zaczął padać, siedzieli dość długo w cukierni i niemal bezpośrednio poszli stamtąd na obiad. Teraz on milczał, podczas gdy Anka opowiadała mu przeżywane w Zakopanem wrażenia.

— Nie masz pojęcia, jacy wszyscy są mili i kochani. Żałuję, że ich dzisiaj nie poznasz.

— Widzę, że odpoczęłaś i poprawiłaś się. Nie spiesz się do Warszawy. Nic w niej niema ciekawego — dodał.

Patrzył teraz uważnie na Ankę, stwierdzając, iż rzeczywiście doskonale wygląda. Nalał kieliszek koniaku, i, podsunąwszy ku niej, swój podniósł do góry:

— Napij się za lepsze jutro.

Machinalnie wzięła kieliszek do ręki i już niosła do ust, gdy, spojrzawszy, jak swój błyskawicznie wychylił, zastanowiła się. W ten sam pewnie sposób — myślała — pił przed kilkoma dniami jeden kieliszek za drugim, a potem.... nie mogła sobie poprostu wyobrazić dalszego ciągu. Postawiła napój nietknięty.

— Zły z ciebie towarzysz, żartował, nalewając sobie na nowo.

— Wolałabym, żebyś nie pił....

— Gdyby nie to, — wskazał na butelkę — człowiekby się czasami zadręczył, — rzekł nawpół serjo. A potem dodał utarty komunał: — Należy tylko wiedzieć, który kieliszek powinien być ostatni.

Nie zaprzeczyła, choć miała pewne zastrzeżenie. Należałoby mu przypomnieć historję ostatniego listu, lecz poczytałaby sobie za niedelikatność, wspominanie błędów, do których się sam przyznał.

— Powiedz mi — rzekła — dlaczego przyjechałeś na tak krótko? Przecież należy ci się urlop?

— Niestety, nie będę mógł w tym roku z niego skorzystać. Nie masz pojęcia, ile mam pracy. Często jestem zajęty nawet po południu.

— Jakto, więc nie przyjedziesz nawet na tydzień?

— Cóżby mi przyszło z tygodnia; sądzę, że lepiej będzie wziąć jedną pensję więcej za czas niewykorzystany. Pieniądze napewno się przydadzą.

Anka zasępiła się. Spojrzała uważnie na mizerną twarz męża, podkrążone oczy i, dostrzegłszy niepokojące zmiany, powiedziała:

— Bardzo przydałby ci się odpoczynek. Najlepiej będzie, jeśli wrócę do Warszawy, skoro ty nie możesz tutaj przyjechać.

Ze wzruszeniem słuchała, jak ją gorąco namawiał, by została. Brała to za niechybny znak troskliwości. To też wieczorem, gdy szła z nim na noc do hotelu, by towarzyszyć mu aż do chwili wyjazdu,

cieszyła się, że wreszcie będą pod jakimś dachem i przestaną się tułać po ulicy. Było już prawie ciemno. Na jednej z bocznych przecznic Włodek zostawił ją na chwilę na ulicy, sam zaś zniknął za drzwiami niewielkiego hoteliku. Anka nie zastanawiała się zupełnie, dlaczego tak uczynił. Stała, nucąc sobie beztrosko i wpatrując się w sunące po niebie chmury. W pewnym momencie usłyszała poza sobą głos Włodka. Obejrzała się. Zdala, na rogu pustej zresztą uliczki stał Witold. Nie była pewna, czy ją dostrzegł, nie mogłaby nawet zaręczyć, czy się wogóle nie myli. Nie wydało się jej to zresztą ani ważne, ani godne dociekań. Weszła śpiesznie do wnętrza, prowadzona pod rękę przez Włodka.

Kiedy już byli w mniej niż prymitywnie umeblowanym pokoju, spytała:

— Dlaczego to wszystko ma posmak jakby sekretu?

— Nie mam przy sobie żadnych dokumentów, a ponieważ spędzimy tu tylko jedną noc, nie mogłem cię przecież prowadzić do pierwszorzędnego hotelu i jasno oświetlonych sal.

Zrozumiała i straciła humor.

— Daruj, — rzekła, — lepiej zdaje się będzie, jeśli wrócę zaraz do państwa Duchnowskich, tembardziej, że to straszny pokój; patrz, jaki brudny.

— Też pomysły. Po pierwsze, byliby pewni, żeśmy się pokłócili, a przytem mam wszelkie prawa być tu razem z żoną. Nie poto przyjechałem, aby zwiedzić Zakopane, lecz chciałem spędzić kilka godzin z tobą. Jestem przytem zmęczony, a jutro czeka mnie znów noc w wagonie, lepiej więc nie zatruwaj mi tych kilku godzin.

Zadzwonił na służącego i kazał podać butelkę wina. Pił potem sam, gdyż ona nie dała się namówić. Rozmawiali o błahych i drobnych sprawach, lecz miała wrażenie, że Włodek odpowiada bezmyślnie, a wychylając jeden kieliszek za drugim, stara się coś w sobie zgłuszyć, o czemś zapomnieć.

W nim rzeczywiście walczyły skrupuły, czy nie będąc pewnym swego zdrowia, powinien narażać Ankę na przykre następstwa. W miarę jednak, jak ubywało wina w butelce, wracał mu humor i pewność siebie.

Wreszcie wstał i powiedział:

— No, czas już spać; jestem porządnie zmachany.

Podniosła się, podeszła do łóżka i uchyliła kołdrę.

— Patrz, jaka brudna pościel, — zawołała. — Za żadne skarby świata nie położę się!

— Nie rób scen. Zgaś lepiej światło i rozbieraj się.

Nigdy jeszcze nie wydał się jej tak obcy. Szorstki ton i zamglone, czerwone oczy napełniły ją wstrętem. Postanowiła nie ustąpić. Usiadła spokojnie na krześle i czekała, aż on się położy. Wyobraził sobie widocznie, że się potem namyśli. Łzy dławiły ją w gardle i przesłaniały oczy. Coś do niej mówił i wołał, lecz potem wszystko ucichło, tylko potok szumiał za oknem swoją nieskończoną melodję.

Włodek spał. Ona siedziała bez ruchu, aż świt zajrzał do okien.

(d. c. n.) *Zofja Koskowa.*

ŚWIETLICA „TRZEŹWOŚĆ" NA ANNOPOLU*)

Przyszłość państwa zależy w dużej mierze od wychowania dzieci i młodzieży. Nie będę mówiła o dzieciach rodziców pracujących, bo ci starają się w większości wypadków dać dobre wychowanie swoim dzieciom, ale w jakich warunkach żyją dzieci rodziców bezrobotnych, zamieszkujących baraki dla bezdomnych na Annopolu, naprawdę trudno sobie wyobrazić — o nich też będę mówiła.

Tam, gdzie niedostatek, brud, pijaństwo, zgnilizna moralna, gdzie w jednem mieszkaniu mieści się kilka rodzin, stale kłócących się ze sobą i często nienawidzących się wzajemnie — tam dziecko nie widzi dobrego przykładu i wszystko, co robią starsi, uważa za wzór godny naśladowania.

Pomimo wysiłków, czynionych przez władze szkolne, by poziom szkół zarówno pod względem naukowym jak i wychowawczym podnieść i jaknajwiększej ilości dzieci zapewnić naukę, całe masy dzieci są jeszcze bez dostatecznej opieki — a co z nich wyrośnie? Wyrosną gromady wykolejeńców życiowych, którzy nietylko nie będą przygotowani do zarobkowania, nietylko staną bezradni przy wyborze zawodu, ale często działać będą świadomie, czy nieświadomie na szkodę społeczeństwa.

A społeczeństwo wykazuje małe zainteresowanie sprawami dziecka, zupełnie obojętnie przechodząc obok tragicznych jego przeżyć, które często wypaczają charakter i zapomina o tem, że właśnie jego obowiązkiem jest otaczać dziecko najtroskliwszą opieką i nasycić jego głód ciała, serca i umysłu, by nakarmione, ogrzane i oświecone, stanęło mocne i twórcze w niezniszczalnych szeregach zastępów budowniczych przyszłego jutra.

Powinniśmy pamiętać o „Genewskiej Deklaracji Praw Dziecka", która głosi:

1) Dziecku powinno się dać możność normalnego rozwoju fizycznego i duchowego.

2 i 3) Dziecko powinno być nakarmione; chore — pielęgnowane, niedorozwinięte — odpowiednio kształcone; wykolejone — zwrócone na właściwą drogę; sierota i dziecko opuszczone, wzięte w opiekę i wspomagane.

4) Dziecko powinno być przygotowane do zarobkowania na życie i zabezpieczone przed wszelkim wyzyskiem.

5) Dziecko powinno być wychowywane w wierze, że jego najlepsze cechy, powinny być oddane na usługi współbraci.

Przekonana jestem, że gdyby każda organizacja społeczna zaopiekowała się grupą dzieci, pozbawioną dobrej opieki, gdyby każdy świadomy obywatel, czuwał moralnie i pomagał materjalnie jednemu bie-

*) Annopol jest to teren pod Warszawą, obok Pelcowizny, na którym magistrat m. st. Warszawy wybudował baraki dla bezdomnych. Skupia on największą nędzę z Warszawy i jej okolic. Obecnie Annopol liczy 18 tys. mieszkańców.

dnemu dziecku — to za kilkanaście lat nie byłoby tylu przestępców, mielibyśmy oświecone i wychowane społeczeństwo.

Tow. „Trzeźwość" doskonale to rozumie i wypełnia swoją cząstkę. Między innemi prowadzi świetlicę dla dzieci najbiedniejszych na Annopolu. Celem świetlicy jest: 1) danie opieki i wychowania dzieciom, które najbardziej tego potrzebują i 2) prowadzenie już od podstaw racjonalnej walki z alkoholizmem.

Praca w świetlicy zapoczątkowana została przed kilku miesiącami i planowo dąży do osiągnięcia celu. Dzieci zgłosiło się bardzo wiele, lecz przyjętych jest tylko 50, ponieważ brak personelu uniemożliwia pracę z większą grupą. Chcąc poznać dzieci, początkowo bawiłam się z niemi i opowiadałam bajki, stopniowo bajki przybierały charakter pogadanek a więc: „Co to jest świetlica", „kłamstwo a prawdomówność", „Miłość bliźniego", „Praca", „Dla kogo żyjemy", „Skutki picia alkoholu" i t. p.

Kiedy dzieci były już dostatecznie przygotowane, podzieliłam je na grupy, każda grupa liczy 5 osób, każda piątka ma swoją grupową, jej słucha, bo wie, że ona odpowiada za czystość, zachowanie i pracę całej grupy, oraz prowadzi ewidencję. Każda grupa obiera sobie nazwę i zawołanie i musi umotywować, czemu taką, a nie inną nazwę obrała i wysunęła hasło. Np. każda dziewczynka z grupy „Bratków" musi wiedzieć, że bratek jest symbolem miłości braterskiej, że hasło „pamiętam" obrała dlatego, aby nie zapomnieć o miłości bliźniego i walce z alkoholizmem. Grupa z hasłem „Czyń" —ma na celu, czynnie występować w walce z alkoholizmem. Grupa z hasłem „Czuwaj" musi czuwać nad sobą i najbliższymi, żeby nie dać się skusić do picia chociażby nawet wina i t. d. W nazwie grupy dopatrywać się należy idei wychowawczej objektywnej, w haśle — idei walki z alkoholizmem.

Prace dzieci łączą się ściśle z pogadankami, każde z dzieci musi mi na swój sposób udowodnić, jaki rezultat wywołała pogadanka. Udowadniają to przez wybraną przez siebie pracę. Np. jeśli jest mowa o staranności, dokładności i sumiennem wykonywaniu pracy, wówczas każde z dzieci prosi o jakąś pracę, czy to o roboty ręczne z dykty, czy o serwetki, poduszki, kołnierzyki i t. p. Jeśli mowa o spostrzegawczości, o dobrem obserwowaniu, dzieci podejmują się robienia notatek i wykresów pogody, zachmurzenia, kierunku wiatru i t. p.

Plan pracy tygodniowej układam z dziećmi w sobotę, w sobotę też odbieram i sprawdzam pracę z całego tygodnia. Porządek dzienny: Zbiórka grupami, śpiew narodowy, lub hymn abstynencki, raport, oglądanie pracy poszczególnych grup i wskazówki, praca dzieci, podczas której czasem urządzam głośne czytanie, zabawy, pogadanka, zbiórka i do domu.

Staram się, aby praca w świetlicy była radosna, bo jak mówi Spinoza: „Radość jest tem właśnie przeżyciem, dzięki któremu, duch nasz osiąga wyższą doskonałość". Dlatego pragnę, by w naszej izbie było naprawdę „światło", dużo pracy twórczej a radosnej i radosnego wywiązywania się z obowiązku; chcę, aby dziecko które miłuje ruch,

pragnie biegać, czynić, majstrować, pragnie czuć, że żyje — aby nie roztrwoniło tych darów młodości, lecz wykorzystało je z pożytkiem dla rozwoju moralnego, zdrowia i szczęścia.

W szkole często niema miejsca na aktywność umysłu dziecka, na żywiołowe wyładowanie energji umysłowej poszczególnego dziecka, na uwzględnienie indywidualności, muszą obowiązywać jednakowe dla wszystkich dzieci programy i metody, nauczyciel jest przeciążony pracą i nie zawsze może skutecznie rywalizować ze złym przykładem, jakie dziecko ma w domu — i wtedy cały zapas energji dziecka obraca się na jego niekorzyść — świetlica więc powinna pomóc nauczycielowi, czuwać nad każdem dzieckiem i dać mu to, czego szkoła i dom dać mu nie mogą. A wieleż to dzieci z mojej świetlicy zupełnie do szkoły nie chodzi.

Chcąc poprowadzić planowo i pożytecznie pracę, konieczne są pomoce ku temu, np. zakładamy bibljoteczkę — brak nam szafki na książki, brak papieru do okładania książek, brak brystolu na katalogi Robimy zabawki — brak nam narzędzi i materjału do pracy, robimy serwetki — brak nici, płótna, wełny, szydełek i t. p.

Przed kilku tygodniami dostaliśmy od Pani Zofji Koskowej i za jej pośrednictwem od dzieci ze szkoły powszechnej Nr. 49 wiele paczek z ubrankami, zabawkami i przyborami szkolnemi, oraz paczki od pani Haliny Piotrowskiej i pana Dr. Fr. Cieszyńskiego. Aby sprawiedliwie obdarować dziatwę, urządziłam z otrzymanych rzeczy fantową loterję — każdy numer wygrywał, dzieci, które nie opuszczają świetlicy i mają najlepsze noty ze swoich prac, mogły ciągnąć 2 razy — Nie potrafię opisać radości dzieci na widok wygranych sukieneczek, pantofelków, fartuszków i lalek. Oprócz tego pani Halina Zaleska ofiarowała dla Świetlicy patefon.

Lato jest najlżejszą porą dla dzieci Annopola, ale należy myśleć już o jesieni i zimie, wtedy, mniej będzie radości w ich twarzyczkach, mniej śmiechu, bo chłód jesienią, mróz zimą dosięgną ich młodych ciał i zgaszą roześmiane latem buziaki, a i głód częściej niż obecnie będzie im się dawał we znaki. — A społeczeństwo, układające „Deklarację Praw Dziecka", społeczeństwo głoszące piękne hasła „że dziecko jest bogactwem i przyszłością narodu", to świadome i mądre społeczeństwo — czy zamknie oczy na głód i nędzę, tych, którzy mają tworzyć zastępy budowniczych przyszłego jutra? W każdym domu znajdzie się coć dla dziecka, jego matki, lub ojca. Trzeba dołożyć trochę fatygi, aby przejrzeć znoszoną garderobę i wysłać ją do Centrali „Trzeźwości" Rynek Starego Miasta 38.

Pomyślmy, że ofiarowane przez nas palto, czy buty, zabezpieczą jednego biedaka przed chorobą a może i śmiercią. Czy znajdzie się 50 szlachetnych rodzin, które przyjmą na siebie obowiązek ubrania 50-ciorga dzieci na zimę, dzieci ze świetlicy „Trzeźwość". Pamiętajmy, że Genewska Deklaracja Praw Dziecka obowiązuje nas wszystkich.

Odpowiedzi proszę uprzejmie kierować do Centrali.

Stanisława Krecińska.

LIST KRAKOWSKI

Kraków, w maju 1934.

W ciągu roku (bo od poprzedniego „Listu" przeszło rok upłynął) nie zaszły na terenie Okręgu krakowskiego ważniejsze zmiany w zakresie działalności przeciwalkoholowej. Jedno należy zaznaczyć, jako charakterystyczne dla ostatnich czasów, że, jak zresztą we wszelkich stowarzyszeniach, ludzie unikają należenia do organizacyj, wymagających regularnej opłaty wkładek członkowskich, a instytucje publiczne, które dawniej chętnie przychodziły z pomocą pracy społecznej, zaprzestały udzielania subwencyj, co wszystko nie mogło nie wpłynąć i na tempo zwalczania alkoholizmu. Zorganizowana swego czasu na gruncie krakowskim przez znakomitego działacza społecznego, ojca Kuznowicza, Centrala Kół Młodzieży Abstynenckiej, borykając się z brakiem funduszów, traci kontakt z dalszemi Kołami młodych abstynentów, nie wydaje swego miesięcznego organu i musi poprzestawać na oddziaływaniu jedynie na młodzież miejscową, zwłaszcza wychowanków Bursy przy ul. Skarbowej.

Innym organizacjom walki z alkoholizmem utrudnia pracę nietylko brak funduszów i z tej przyczyny brak własnego lokalu na stałą świetlicę w rodzaju warszawskiej „Trzeźwości", ale jeszcze i dotkliwy brak ludzi odpowiednich, mogących tej sprawie wszystek czas poświęcić. Tym obowiązki rodzinne rzecz utrudniają, inni zawodowo tak są zapracowani, że nie mają godziny wolnej, mimo, że idei naszej sprzyjają i mieliby ochotę jej służyć. A w dodatku tak się składa, że zazwyczaj jedni i ci sami ludzie muszą jednocześnie kierować pracą kilku organizacyj i spowodu wybitnych swych społecznych uzdolnień bywają przez wszystkie zbyt wykorzystywani do urzędów prezesów, sekretarzy i organizatorów przeróżnych imprez. Tu leży też źródło mniejszego rozwoju pewnych towarzystw i tesame właśnie okoliczności nie są bez wpływu na hamowanie akcji przeciwalkoholowej, do której przecież niewszyscy się nadają, a często właśnie najmniej ci, coby płacić mogli wkładki regularnie. Kilka osób wpływowych, które przedtem bliżej się interesowały naszą sprawą, nieco ochłodło dla niej, oddawszy się całkiem polityce.

Mimo wszystko krakowska „Trzeźwość" akcji swej nie zaprzestała, a chociaż nie może się zdobyć na takie, jak wprzódy, Kursy alkohologji na wielką skalę, to jednak działalność odczytową prowadzi dalej luźnie, lecz zawsze skutecznie, tylko, że czasem, gdy zachodzi obawa zrażenia sobie publiczności, nie wywiesza firmy lub unika w tytule odstraszającego gości alkoholizmu, nie było jednak wypadku na gruncie tutejszym, by słuchacze mieli o to żal do prelegenta, że właśnie o tej pladze mówił w wykładzie np. o jednej z przyczyn kryzysu, albo o jednem ze źródeł zła społecznego oraz powszechnej przestępczości. ieżeli tylko zajął tematem audytorjum i umiał do końca jego uwagę utrzymać na uwięzi, czy przekonać je swoją argumentacją.

Odczyty propagandowe dla sfer szerszych, jak i prelekcje dla inteligencji, by ją zjednać dla naszej akcji, urządzane przez „Trzeźwość" zwłaszcza w popularnej sali Niebieskiej, stale ściągały po kilkuset słuchaczy, którzy nieraz od drzwi odchodzili, nie mogąc się już docisnąć. Wrażenie bywało zawsze widoczne, a zdarzały się i pożą-

dane następstwa zainteresowania przygodnej publiczności. Praktyka pouczyła, że takie uświadamiające o niebezpieczeństwie alkoholizmu wykłady, pogadanki i imprezy w rodzaju przedstawień teatralnych, właśnie najsilniej oddziaływujących, udają się najlepiej wtedy, gdy niema biletów płatnych — a tymczasem każde takie przedsięwzięcie, poza dużym wkładem starań organizatorów, wymaga nieodzownie pieniędzy na pokrycie mnóstwa z tem związanych kosztów. Fundusze na to znaleźć się muszą, by podtrzymywać tę jedyną przeciwwagę reklamie pijaństwa ze strony przeciwnej.

Akcja nasza znajduje na gruncie krakowskim zawsze uznanie Władz i wrazie potrzeby poparcie, zachętę. Doznała tego „Trzeźwość" przy urządzaniu konferencyj z udziałem przedstawicieli urzędów i instytucyj. Szkoda, że na terenie Uniwersytetu ubyła w Klinice neurologicznej przychodnia przeciwalkoholowa po odjeździe do Poznania d-ra Frąckowiaka, w którym straciliśmy świetnego prelegenta z dziedziny narkomanji i charakterologji. Oprócz naszego Oddziału, odczuł ten ubytek także kierownik programu Radja i Powszechnych Wykładów Uniw. Jagiel., dr. Reguła. Instytucja ta w dalszym ciągu prowadzi z zupełnem powodzeniem dział wykładów przeciwalkoholowych, o którym poprzednio na tem miejscu nieraz się mówiło z uznaniem.

W roku bieżącym, mimo bardzo szczupłych funduszów, urządzono 16 bezpłatnych odczytów w 3 województwach dla 3131 słuchaczy, gdy w roku zeszłym 21 odczytów miało 3363 słuchaczów. Najwięcej wykładów i najliczniejszą frekwencję miał prezes Kalinowski, np. w Miechowie 404, na kopalni w Brzeszczach 239, w Oświęcimiu 350, w Tarnowie 536, w Dąbrowie Górniczej 605. Jego wykłady cieszyły się też stale powodzeniem w Krakowie, gdzie za zezwoleniem Kuratora miewał je w gimnazjach i seminarjach nauczycielskich. Z prelegentów zamiejscowych, zaproszonych przez „Trzeźwość" do Krakowa ,tłumną frekwencję miały odczyty ks. profesora Ciemniewskiego ze Lwowa. Według zapewnienia kleryków z Koła abstynentów, niezatarte wrażenie wywarły w Seminarjum Duchownem referaty prezesa Kalinowskiego na temat zagadnienia alkoholizmu w życiu kapłana.

W Tygodniu Propagandy Trzeźwości grano w Krakowie, i na prowincji również w kilku miejscowościach, ideowe utwory sceniczne Eli Oleskiej, autorki misterjów teatralnych, które tu w ostatnim czasie zyskały wielką popularność i poważne uznanie. Można te rzeczy polecić naszym organizacjom abstynenckim, którym brak na scenę rzeczy propagandowych o wartości artystycznej i literackiej. Tytuły ich: „Perła weselna", „Wyzwoliny", „Wszystko wolno", „W sidłach szatana" — dwie ostatnie sztuki wydała „Trzeźwość" drukiem. Wszystkie, gdziekolwiek były grane, wrażenie sprawiały mocne.

Radjo krakowskie w Tygodniu Trzeźwości dało dwa odczyty propagandowe: Kalinowskiego „Na posterunku" i Oleskiej „Strzęp życia". Z prasy miejscowej walkę z alkoholizmem stale podtrzymuje tygodnik „Dzwon Niedzielny", organ archidjecezjalny Akcji Katolickiej, gdy gazety codzienne tutejsze trudniej nakłonić do wydatniejszego popierania naszej propagandy, ale coraz rzadsze w nich feljetony apoteozujące pijaństwo.

Swój.

PRZEGLĄD PRASY
ROLA PAŃSTWA I ROLA SPOŁECZEŃSTWA*).

I. Działalność Państwa.

Wśród najrozmaitszych nieporozumień co do stosunku Państwa do interesów ludności, tuła się bezmyślny przesąd, że Państwu zależy, ze względów budżetowych na tem, by ludność się rozpijała i że Państwo jest naturalnem niejako przeciwieństwem akcji antyalkoholowej.

Prymitywne umysły „rozumują":

— Państwo utrzymuje monopol spirytusowy, dochody którego stanowią ogromną pozycję w budżecie, a więc Państwu musi zależeć na jaknajwiększej konsumcji spirytusu, czyli na rozpajaniu ludności, skąd wypływa druga konieczność, niepopierania, jeżeli nie przeciwdziałania akcji abstynenckiej i walce z alkoholizmem.

Te poglądy, pozornie tak „proste i logiczne", są od początku do końca fałszywe.

Państwu chodzi o jaknajwiększą konsumcję alkoholu, lecz nie w szynkach, nie przy stołach rodzin, lecz raczej w motorach spalinowych, w przemysłach chemicznych, farbiarstwie (politury), w postaci skażonej i t. d.

Gdyby Państwo dążyło do rozpijaczania ludności, toby przedewszystkiem nie najwyższą do alkoholu stosowało kalkulację cen, lecz najprzystępniejszą.

Gdyby Państwo chciało „nie popierać, lecz zwalczać" akcję abstynencką lub antyalkoholową, toby jej zakazało, jak organizacji anarchistów i komunistów. Tymczasem dzieje się odwrotnie: Państwo nietylko toleruje ruch antyalkoholowy, ale go podsyca i pielęgnuje.

W min. opieki społecznej jest mały ośrodek racjonalnej walki z alkoholizmem. Tow. „Trzeźwość", liczące dziesiątki kół w całym kraju, jest subwencjonowane z budżetów państwowych.

Poradnie i przychodnie antyalkoholowe zakłada się za pieniądze i pod opieką Państwa.

Olbrzymie i świetnie wyposażone domy zdrowia dla alkoholików i narkomanów zakłada Państwo.

Kursy alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny od szeregu lat urządza Państwo.

Polskie Kongresy Przeciwalkoholowe odbywają się pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

I — obserwując te dwa fakty: działalność antyalkoholową obywatelską i stosunek Państwa do tej kwestji można dojść jedynie do tego wniosku, że Państwo Polskie pragnęłoby obniżenia konsumcji alkoholu jako pożywki, zwłaszcza w masach, gdzie pijaństwo prowadzi do zbrodni pospolitych w przerażającym procencie, wśród kolejarzy ze względów choćby na bezpieczeństwo publiczne, wśród młodzieży, pojmując

*) Z powodu tegorocznego Zjazdu Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość" znany publicysta, p. *Feliks Kuczkowski* zamieścił w *„Expressie Porannym"* niezmiernie cenny artykuł; uważamy za swój obowiązek zapoznać z nim naszych Czytelników, gdyż głęboko i świetnie ujmuje istotę zagadnienia stosunku Państwa do sprawy walki z alkoholizmem. (Przyp. Red.).

ze statystyk i ankiet, jak katastrofalny skutek wywiera alkohol na naukę, rozwój fizyczny i moralny dziecka.

I jeżeli ta akcja posuwa się w Polsce żółwim krokiem, jeżeli mamy poradni antyalkoholowych 11 (wobec 300 antygruźlicznych), jeżeli sprawa doniosłości klęski społecznej, jaką jest rozpijaczenie mas i inteligencji, nie wyszła jeszcze z okresu niedowierzania i kpinek, to wina tego zacofania leży nie po stronie Państwa, lecz społeczeństwa.

Ono to wydaje z siebie do tej akcji tak nielicznych, działaczów, że robota nie może być godna ogromu zadania mimo to, że ludzie, pracujący w naszym ruchu abstynenckim i antyalkoholowym stanowią kadrę wysoce ideową, kompetentną, pracowitą, pomysłową, energiczną, promieniującą zapałem i bezinteresownością — przykładem najlepszym i pociągającym.

Ale kadra ta jest nieliczna. To są samotni pionierzy idei, odtrącanej przez ogół. Albowiem ogół chce pić, upijać się aż do nieprzytomności — furda zdrowie i jakaś tam „godność" człowieka: chce się oszałamiać aż do utraty wszelkiej samowiedzy i kwita.

Taka jest wola masy ludzkiej w obecnym okresie cywilizacji w Polsce i na zmianę tej woli musi się złożyć wiele czynników moralnych i ekonomicznych, którym akcja antyalkoholowa może wiele pomóc, *lecz zastąpić ich nie może.*

Jeżeli zaś nie poradzi tu akcja bezpośrednia działaczów społecznych, cieszących się powagą i zaufaniem wskutek swego bezinteresownego spełniania misji, jeżeli nie może wskórać uświadamianie, oparte na wiedzy naukowej, na ukazywaniu straszliwych skutków alkoholizmu w szpitalach dla warjatów — to co wskórałyby zakazy biurokratyczno-policyjne?

Wszakże mieliśmy różne rozporządzenia antyalkoholowe, których wynikiem praktycznym był jedynie wzrost lekceważenia dla wszelakich rozporządzeń władz.

Wszakże mieliśmy nawet prohibicję miejscową (Pruszków), która również nie wyszła na dobre obronie mas przed rozpijaniem, gdyż upadek jej, spowodowany znakomicie zorganizowaną kontrakcją szynkarzy, zdyskredytował, w oczach ciemnej opinji, samą ideę trzeźwości.

Dzisiejszy stan walki z alkoholizmem w Polsce możnaby tak zdefinjować: ogół pije powszechnie i zapamiętale; jedynie kryzys obniżył konsumcję; akcja antyalkoholowa, tak potężna gdzieindziej, nie znajduje u nas chętnych; Państwo popiera realne poczynania tej akcji przez dotacje pieniężne i inne; wzrost współdziałania Państwa zależy wyłącznie od parcia z dołu, t. j. od wzrostu inicjatywy i ideowości społeczeństwa.

II. Robota społeczna.

Właśnie w sobotę i w niedzielę dnia 2 i 3.VI.1934 r. odbył się w Warszawie zjazd delegatów kół Towarzystwa „Trzeźwość".

Jest to towarzystwo, zajmujące w polskim ruchu antyalkoholowym stanowisko naczelne — powiedzmy — nietyle pod względem ilościowym, co jakościowym. Tu jest trust mózgów, tu jest sztab wiedzy, kadra doświadczenia, łącznik z rządem, centrala wydawnicza — reprezentacja naszej walki z pijaństwem.

Ambicją tego towarzystwa jest wysoki poziom akcji uświadamiającej i przysposabianie naukowe dalszych sztabowców.

Kursy alkohologji, urządzane corocznie w Państwowej Szkole Higjeny stoją na poziomie tak wysokim, że wybitni lekarze zasiadają chętnie w ławach audytorjum. Kurs trwa 40 godzin. Już 1500 osób otrzymało to przeszkolenie.

Również na ostatnio odbytym Zjeździe wykłady były znakomite. Same nazwiska prelegentów świadczą o ich poziomie: rektor M. Michałowicz, prof. dr. Gantkowski, p. Strzelecka, dr. J. Vorbrodt, Dyrektor dr. Zajączkowski i inni. Przewodniczyli: Prof. Dr. Paweł Gantkowski (Poznań) i Prezes Kazimierz Kalinowski (Kraków). Kilkakrotnie przemawiał redaktor Szymański.

Lecz prawdziwą rewelacją dla obserwatora tego zjazdu były sprawozdania delegatów. Stanął naraz przed oczami żywy przekrój Polski — od zachodnich do wschodnich rubieży. Przekrój jednocześnie tragiczny i napełniający wiarą w przyszłość tego narodu, który, tonąc w nałogu tak katastrofalnie, wydaje ze swego łona wprawdzie nielicznych jeszcze, ale jakże dzielnych obrońców zdrowia ciała i duszy.

Byli między nimi lekarze zasłużeni (Koło lekarzy abstynentów liczy 53 osoby — z prof. Dr. P. Gantkowskim, Dr. Dereszem, Dr. Kuropatwińskim i dr. Leszkiewiczem z Kowla na czele), byli dyrektorzy państwowych zakładów psychjatrycznych i dla narkomanów, byli dorośli pionierzy, zdzierający w zapadłych kątach Rzplitej nerwy w walce z ciemnotą. Wystąpiło też na tym zjeździe ze sprawozdaniem młode pokolenie: dziewczęta od 12 do 16 lat (szkoła powszechna Nr. 49 im. Michaliny Mościckiej, „Szarotka" w Kaliszu i in.), Daniel Skwarniuk spod Grodna, ze wsi zapadłej, który łamaną polszczyzną lecz z prostem spojrzeniem oświadczył: materjalnie u nas słabo, ale duchowo mocno! Ale inteligencja u nas jest tego gatunku, że pije. My tam, abstynenci, ale słyszę, że i w Warszawie wy panowie samotni. No i my tak: sami chłopi, bez pomocy inteligencji.

— U nas bieda (mówił delegat z Drozdówki z pow. włodawskiego), więc składki wynoszą 5 groszy... A w innym raporcie....

— Nasze koło posiada 212 członków. Daliśmy 112 przedstawień ideowych, na których było 12670 osób. Bibljoteka 550 tomów. Dwie orkiestry: dęta i smyczkowa... To Mokotów tak przemawiał.

Inny delegat opowiadał:

— U nas prezesem nauczyciel. Kiedyś zaprosił do swego domu kolegów, by ich uświadamiać. Przyszli, słuchali, lecz spostrzegłszy, że do kolacji niema wódki, posłali po nią, popili się — gospodarz musiał uciec z własnego domu! — takie to są trudności naszej pracy.

A motyw zasadniczy sprawozdań:

— Najodporniejszym elementem jest na prowincji t. zw. inteligencja, a „wogóle" jedynie skuteczna i wdzięczna praca odbywa się wśród młodzieży.

A więc i ci działacze doszli do tego wniosku. I oni dojrzeli istotną opokę pod fundamenty przyszłej Polski. Ogólne to znamię wieku: siać ziarno w glebę dziewiczą.

Pionierzy z „Trzeźwości", czyniąc to, przyczyniają się nietylko do szczęścia Narodu, ale i do potęgi Państwa.

I niech nikt nie rozumuje po sklepikarsku i nie imputuje Państwu kategorji innego rozumowania. Albowiem Państwo wie aż zadobrze, że każdy kieliszek, wylany do kadzi przemysłowej, zamiast do gardła obywatela, stokrotnie się opłaci skarbowi; po pierwsze przez przysporzenie podatków od produkcji i wynikającej stąd dalszej konsumcji, po wtóre przez oszczędność na więzieniach, aparacie sądowym i policyjnym, na stratach gospodarczych, podcinających zdolność podatkową społeczeństwa nietrzeźwego, po trzecie na szpitalach dla warjatów, weneryków, gruźlików.

Państwo nie kieruje się polityką krótkowzroczną i nie jest jego programem rozpijaczanie ludności w celu wzmożenia dochodów z Monopolu Spirytusowego. Od Państwa nie można jednak wymagać, by w duszach obywateli instalowało hart woli.

Takich policjantów nikt jeszcze nie wymyślił.

Feliks Kuczkowski

KRONIKA.

Z powodu strasznej zbrodni, popełnionej na ś. p. ministrze *Bronisławie Pierackim*, Prezydjum Zarządu Gł. Polskiego Towarzystwa walki z alkoholizmem „Trzeźwość" wysłało następujący telegram:

„Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Warszawa.

Polskie Towarzystwo walki z alkoholizmem „Trzeźwość", biorąc udział w powszechnej żałobie po śmierci ś. p. ministra Pierackiego, wyraża najgłębsze oburzenie z powodu okropnej zbrodni.

Prezydjum Zarządu Głównego: Kalinowski, Iżycki, Szymański, Herwich, Ołpiński".

Delegacja Zarządu Głównego wpisała się do księgi kondolencyjnej w Prezydjum Rady Ministrów, oraz wzięła udział w nabożeństwie żałobnem w kościele Św. Krzyża i eksportacji zwłok ś. p. ministra Pierackiego z kościoła na Dworzec Główny.

Zjazd Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość" odbył się stosownie do programu, podanego w poprzednim N-rze Trzeźwości w dniach 2 i 3 czerwca. Zjazd udał się znakomicie. Brak miejsca zmusza nas do odłożenia sprawozdania ze Zjazdu do następnego numeru.

Zarząd Główny Tow. Trzeźwość, uzupełniony przez wybory na ostatnim Zjeździe Delegatów Kół, składa się obecnie z następujących osób: *ks. prałat Wincenty Balul, Dr. Wiktor Borkowski, Maksymiljan Herwich, b. senator Aleksander Iżycki, Kazimierz Kalinowski, Zofja Koskowa, Tadeusz Ołpiński, Irena Surmacka, Janina Strzelecka, Doc. Dr. Gustaw Szulc, red. Jan Szymański i mec. Alfred Zaniewicz*. Zarząd Gł. wybrał Prezydjum w składzie: *Kazimierz Kalinowski* — prezes, *Aleksander Iżycki* i *Jan Szymański* — wiceprezesi, *Tadeusz Ołpiński* — sekretarz i *Maksymiljan Herwich* — skarbnik.

Zmarli: ś. p. *Dr. Stefan Kopciński*, senator i ś. p. *Franciszek Magryś* — zasłużeni w walce z alkoholizmem w Polsce. Wspomnienia pośmiertne zamieścimy w następnym numerze. — Cześć Ich pamięci!

Druk ukończono dnia 14.VII.1934 r.

SKŁADNICA HIGJENICZNA
Tow. „Trzeźwość“

Warszawa, Rynek Starego Miasta 38, m. 4, telef. 511-07. (Konto P. K. O. 270).

POLECA NASTĘPUJĄCE NOWE WYDAWNICTWA:

1) **Lekarzy Polscy o alkoholizmie i walce z nim. — Myśli i aforyzmy. — Zebrał Jan Szymański,** Warszawa, 1933. Str. 24. Cena 60 groszy.

2) **Helena Gogulska. — Czuwaj — Harcerzu!** — Nakł. Tow. Trzeźwość. Warszawa, 1933. Str. 10. Cena 20 gr.

3) **Dr. Witold Chodźko,** Dyrektor Państw. Szkoły Higjeny, b. Minister Zdrowia Publ. — **Walka z alkoholizmem w świetle doświadczeń z okresu wojny światowej.** — Z 11 tablicami w tekście. — Warszawa, 1933. Str. 12. Cena 40 gr.

4) **Tomasz Nocznicki,** b. minister, b. senator. **O trzeźwość narodu.** — Nakł. Tow. „Trzeźwość". Warszawa, 1933, Str. 7. Cena 10 gr.

5) **Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska. — Aktualne zagadnienia etyczno-społeczne i rola młodzieży w tym zakresie.** — Nakł. Tow. „Trzeźwość". Warszawa, 1933. Str. 9. Cena 20 gr.

6) **Kazimierz Kalinowski. — Znaczenie zagadnienia alkoholizmu.** Wykład wstępny, wygłoszony 12.XII 1932 na kursie alkohologji w Państw. Szkole Higjeny. — Nakł. Tow. Trzeźwość. Warszawa, 1933. Str. 12. Cena 20 gr.

7) **Odezwa do Lekarzy Polskich.** (W sprawie założenia Koła Lekarzy Abstynentów). — Warszawa, 1933. Str. 7. Cena 5 gr. — 10 egz. 25 gr.

8) **Dr. Karol Zaleski. — List do Redakcji „Trzeźwości".** (W sprawie założenia Koła Lekarzy Abstynentów). Warszawa. 1933. Str. 2. Cena 5 gr. — 10 egz. 25 gr.

9) **Dr. Henryk Zajączkowski. — List do redakcji „Trzeźwości".** (W sprawie założenia Koła Lekarzy Abstynentów). — Warszawa, 1933. Str. 2. Cena 5 gr. — 10 egz. 25 gr.

10) **Helena Gogulska. — Nauczycielstwo i klęska alkoholizmu.** Warszawa, 1932. Str. 4. Cena 10 gr.

11) **Hanna Chrzanowska. — Pielęgniarka w walce z alkoholizmem.** Cena 20 gr.

12) **R. Hubczeńko. — Czem gości przyjąć.** Cena 2 zł.

13) **Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska. — Lincoln.** — Nakł. wydawn. „Walka z alkoholizmem". Warszawa, 1932. Str. 8. Cena 20 gr.

14) **Dr. Gustaw Szulc, Doc. U. W. — Walka z alkoholizmem jako problemat racjonalnego żywienia.** — Cena 20 gr.

15) **Mikołaj Skiba. — Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze w Polsce** — Cena 1 zł. 80 gr.

16) **Mikołaj Skiba. — Umieralność niemowląt w Polsce.** — Cena 80 gr.

17) **Dr. Czesław Wroczyński. — Alkoholizm i chorobowość wśród kolejarzy** — Cena 30 groszy.

18) **Prof. Dr. Paweł Gantkowski** (Poznań). — **Próba analizy obecnych podstaw naukowych walki z alkoholizmem.** Str. 8, r. 1934. Cena 20 gr.

19) **Prof. Dr. Paweł Gantkowski.** (Poznań) — **O stosunku lekarzy do walki z alkoholimem.** Str. 8, r. 1934 , cena 20 gr.

20) **Helena Gogulska. — Harcerstwo i walka z alkoholizmem.** Str. 8. 1934 r. Cena 20 groszy.

Z. — 1259 Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, ul. Ordynacka 8.